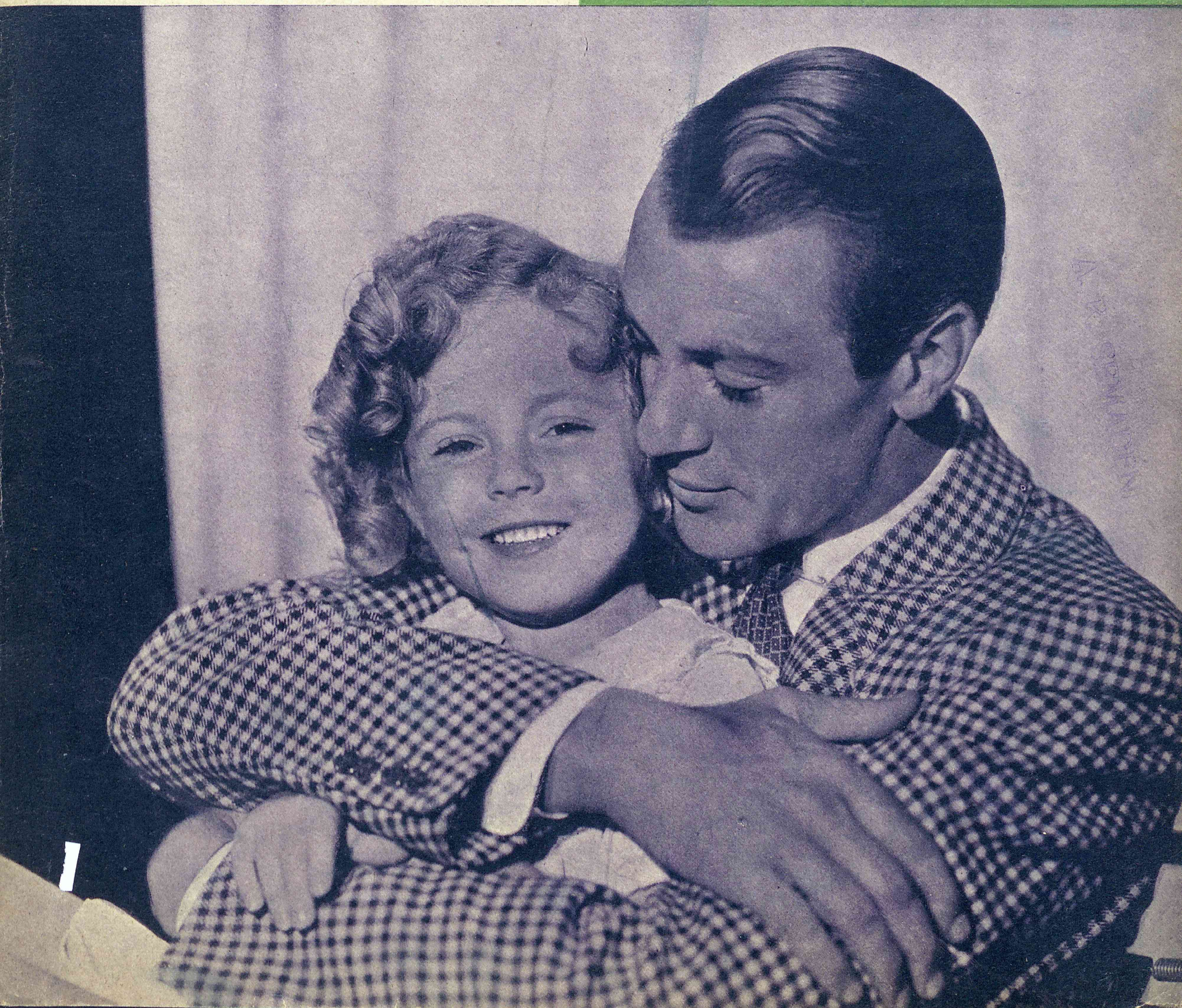
ŚWIAT

REDAKCJA I ADMINISTRACJA • WARSZAWA, SZPITALNA 12

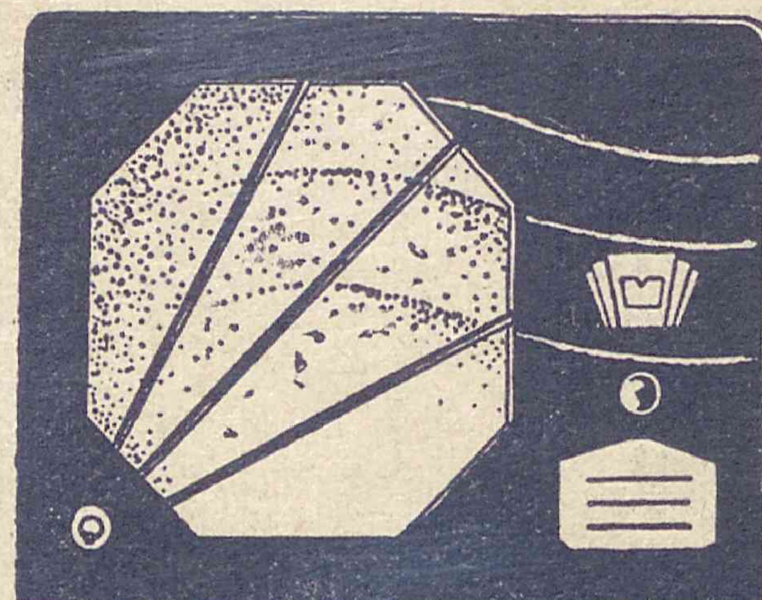
Nr. 48. 1 GRUDNIA 1934 ROKU

Dwie gwiazdy „Paramountu"
SHIRLEY TEMPLE I GARY COOPER
w filmie „Teraz i zawsze", który ukaże się
w grudniu r. b. w kinie „Stylowy" w Warszawie

CENA 1 ZŁ.







165 zł. za gotówkę

BINOFON — Z

2 LAMPOWY ODBIORNIK SIECIOWY
Z WBUDOWANYM GŁOŚNIKIEM

DOBRY ODBIÓR KILKUNASTU STACYJ ZAGRANICZNYCH

SPRZEDAŻ GOTÓWKOWA I RATALNA



K. Brun i Syn S. A. Bielańska 2, Marszałkowska 68 i 124, Targowa 64, Nowy Świat 41 — Block Brun, S. A. Krak. Przedm. 42/44 i Państwowe Zakłady Tele i Radjotechniczne, Warszawa, Grochowska 30. Na prowincji w większych sklepach radjowych



Zagradzajcie drogę chorobie

ułatwiajcie organizmowi sprawne działanie, unikajcie używek podniecających, natomiast wszyscy — chorzy i zdrowi, dorośli i dzieci — pijcie ziołową mieszankę witaminową

Oskara Wojnowskiego

HERBACIANKA CENA zł. 2.50

do nabycia w aptekach i skł. apt.
Skład główny Warszawa, Al. Jerozolimskie 75, tel. 857-25.

ŁÓDZKO-WARSZAWSKIE TOW. TRANSPORTOWE

WARSZAWA	ŁÓDŹ,
ul. Sienna 94, tel. 5.92-80 i 605-92	ul. Dowborczyków 9, tel. 206-90

Codzienny przewóz towarów samochodami do Łodzi i z Łodzi.
Zwózka towarów i przewóz maszyn taborem konnym.
Przeprowadzki, ekspedycja kolejowa, magazynowanie towarów i mebli.

„Zorganizowanym i przygotowanym do obrony przeciwlotniczo-gazowej nic grozić nie będzie“ – Zapisujcie się na członków L. O. P. P.!



Bawełna do cerowania i nici „TRZYLILJE“

KRAJOWY PRZEMYSŁ NICIANY. WARSZAWA.

PRZY ZABURZENIACH W TRAWIENIU, PRZEWLEKŁYCH, UPORCZYWYCH ZAPARCIACH STOLCA, ORAZ PRZY NADMIERNEJ OTYŁOŚCI, STOSUJE SIĘ, BEZ SPECJALNEJ DIETY LUB ZMIANY TRYBU ŻYCIA, ŁAGODNIE PRZECZYSZCZAJĄCE



„SZWAJCARSKIE GORZKIE ZIOŁA“
„GĄSECKIEGO (z KOGUTKIEM.)

MEBLE

gwarantować może tylko własna wytwórnia. Stołowy 14 sztuk 430. Sypialnia 10 sztuk 440. Gabinety 460. Salony, machoń 10 sztuk 220. Złocony, orzechowy, fotele futurystyczne, tapczany higieniczne 85. Otomany 120. Stoły rozsuwane 50. Krzesła wyściełane 15, oraz najróżnorodniejsze sztuki

OLKOWSKI Nowy Świat 12, tel. 9-10-93 (firma chrześcijańska).

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI
ROK XXIX. Nr. 48 1.XII.1934

L. CHRZANOWSKI

PARYŻ I RZYM

Porozumienie francusko - włoskie, zbliżenie i uzgodnienie polityki Francji i Włoch — oto kapitalne zagadnienie całego okresu powojennego. Oto zagadnienie, które znowu podobno bliskie jest realizacji.

Te dwa słowa „znowu" i „podobno", których używam niestety pod wpływem przezorności publicystycznej, malują najdokładniej istotny stan rzeczy. Tyle razy bowiem następowały już odprężenia i tyle razy już prasa — wyrazicielka ...opinji obu „sióstr łacińskich", skakała sobie do oczu!

Tyle razy miotano wzajemne oskarżenia i inwektywy, których nie powstrzymały nawet najwyższe szczyty Alp. Ileż razy widziałem zbliska w Rzymie ręce wyciągnięte do uścisku, które nagle zmieniały się w pogróżkowe kułaki. Iluż ambasadorów w Rzymie i w Paryżu stawiało sobie za punkt honoru doprowadzenie do tego zbliżenia. Ileż razy, patrząc z Paryża czy Genewy, zdawało się, że już nic nie stoi na przeszkodzie tej wspólnej kollaboracji!

Ile odprężeń — tyle rozczarowań! Ile starć — tyle nowych nadziei!

Zdrowy rozsądek, logika dziejów, krwawa nauka wojny światowej—wszystko to zdawało się tworzyć nakaz wzajemnego porozumienia. A mimo to — porozumienie pozostawało w krainie marzeń politycznych.

Włochy i Francja rzucały sobie chmurne spojrzenia, cierpkie uwagi dyplomatyczne, drażniące, dokuczliwe epitety dziennikarskie.

Ostatnie miesiące jednak posunęły zagadnienie zbliżenia wydatnie naprzód. Parę miesięcy wytężonej pracy zdecydowanego zwolennika zbliżenia, zamordowanego ministra Barthou, zrobiły swoje. Realista polityczny, mąż stanu operujący kategorjami praktycznej natychmiastowości—Mussolini wyczuł, iż tym razem wyciągała się doń dłoń Francji świadomie i bez wszelkich arrière pensées prestiżowych. Równolegle jednak z tą przychylną i pomyślną atmosferą z obu stron — bieg wypadków europejskich coraz silniej uwypukla zbieżność interesów Francji i Włoch.

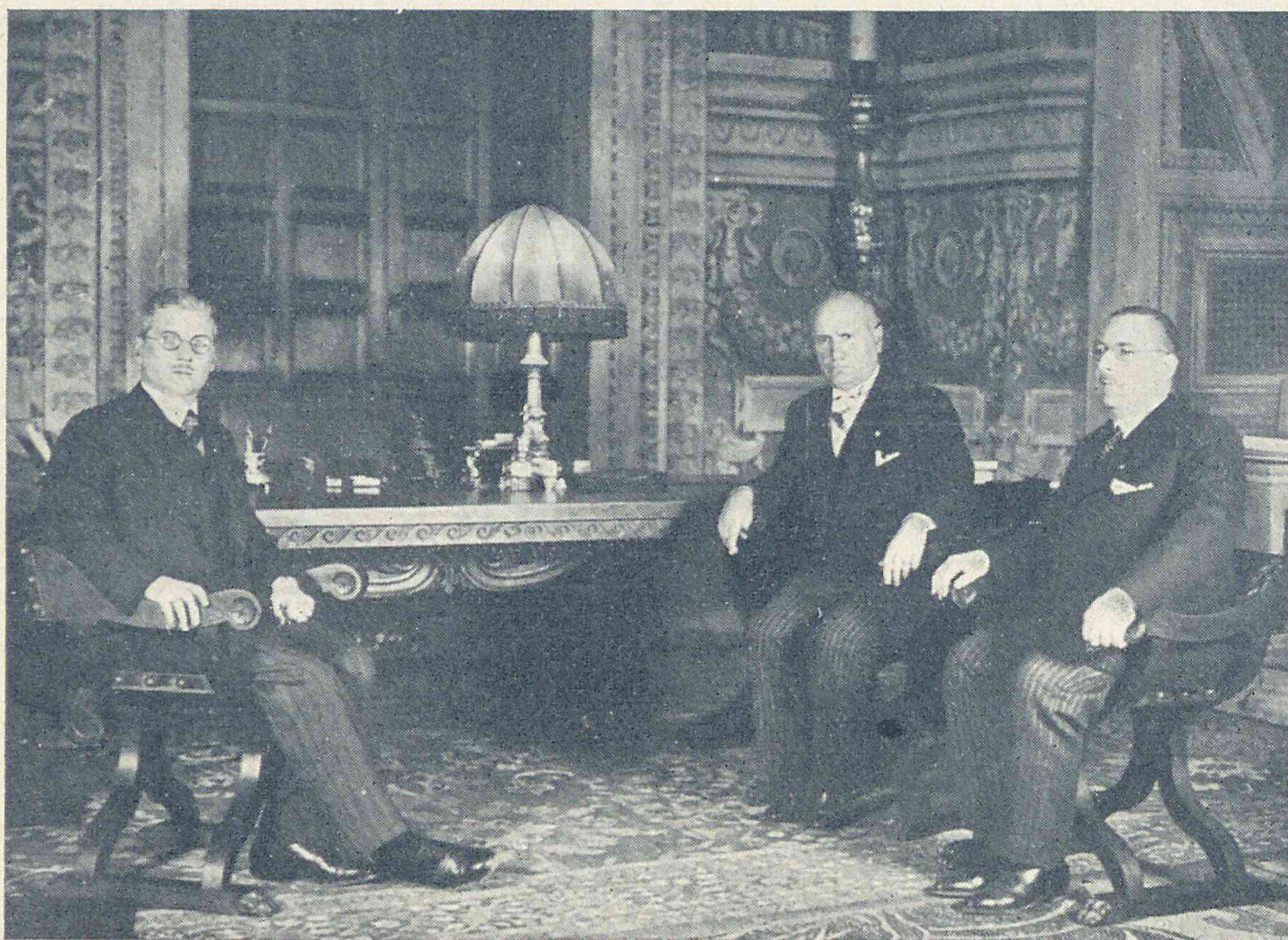
Coraz jaskrawiej rysuje się prawda, iż ta niezbędna solidarność — to jedna z najpotężniejszych gwarancji pokoju w Europie.

W okresie kiedy Niemcy Hitlera zbroją się w zawrotnem tempie, gdy zamaskowany plan dominowania nad centralną Europą jest wykonywany przez Niemcy dzisiejsze tak samo, jak starały się go zrealizować Niemcy Wilhelma II— coraz widoczniejsze niebezpieczeństwo ułatwia rozmowę Paryża i Rzymu.

Wobec grozy tego, co szykuje Hitler, czem chciałby zaskoczyć nieprzygotowaną Europę — jakże maleje kwestja uregulowania, wyprostowania granicy włosko-francuskiej w Libji!

Czyż można porównać sprawę posiadania jednego czy nawet paru źródeł w pustyni, paru nawet najpiękniejszych palmowych oaz z kwestją współdziałania dla utrzymania pokoju w Europie?

Czyż ten jeden z głównych punktów spornych między Włochami a Francją nie jest tylko drobniutką sprawą wobec grozy stojącej u ich granic, jeśli solidarności swej nie skrzepią!



Rozmowa Mussoliniego z kancl. Schuschniggiem

Czyż zapewnienie statutu, określającego prawa emigrantów włoskich w Tunisie — nie jest również sprawą trzeciorzędną, wobec możliwości, iż ci pokojowi emigranci musieliby pewnego poranku rzucać swe plantacje, domostwa i biedz do matki - ojczyzny, by w jej okopach walczyć nie o stan posiadania, o skalę ekspansyjnych przywilejów, lecz o byt i bezpieczeństwo całego kraju macierzystego!

Czyż początkowo prestiżowa, a później materjalna kwestja parytetu morskiego nie jest dziś bezprzedmiotowa, skoro Włochy, nie czekając na ustalenie paragrafów i wynik dyplomatycznych posunięć, rozpoczęły budowę dwuch pancerników - olbrzymów po 35,000 tonn każdy.

Stępiło się ostrze najdrażliwszych zatargów.

Parytet teoretyczny — praktycznie został odstawiony do... stoczni...

Statut, regulujący prawa emigrantów włoskich, został na tajnej radzie ministrów francuskich aprobowany na okres od pięciu do dziesięciu lat. Tę dodatnią pozycję przywiózł ambasador de Chambrun z ostatniego swego pobytu w Paryżu i o tem zakomunikował już na poufnej konferencji Mussoliniemu we środę.

Zapewne, pięć a nawet dziesięć lat, to nie jest uregulowanie sprawy raz na zawsze, ale to jest zupełnie co innego, niż przedłużanie status quo co trzy miesiące lub co miesiąc, jak to było dotychczas.

Atmosfera się oczyściła więc o tyle, że nie zmąciło jej nawet nowe żądanie Włoch posiadania łatwiejszego dostępu do Abisynji. Żądanie to dotyczy francuskiej Somalji i wybrzeża francuskiego od strony Morza Czerwonego.

Dziś możliwość rozwiązania tych zagadnień dla stron obu jest łatwiejsza, niż kiedyindziej. Stosunek Mussoliniego do Niemiec zmienił się znacznie od momentu zamordowania kanclerza Dollfusa i zamiaru puczu ze strony legjonu austrjackiego przyhołubionego na terytorjum Niemiec.

Prewencyjna mobilizacja włoska nietylko ocaliła niepodległość Austrji, ale uzewnętrzniła również, iż Mussolini docenia niebezpieczeństwo marzeń niemieckich o Mittel-Europie podległej niemieckiej hegemonji.

Dziś Francja i Włochy mają przed sobą dwie żywotne olbrzymiej wagi kwestje: Saara i Anschluss!

Ani jednej ani drugiej Niemcy się nie wyrzekły. Po obie wyciągają ręce. Każda z nich pomyślnie rozstrzygnięta dla Niemiec — to wzmożenie ich siły, ich potęgi, ich buty! To wzmożenie niebezpieczeństwa wojny.

We wspólnym wysiłku w tych kapitalnych dla siebie zagadnieniach muszą stać obok siebie Francja i Włochy, gdyż w przeciwnym razie kolejno będą osłabione!

Mamy wszelkie dane mniemać, iż tym razem zbliżenie „sióstr łacińskich" wyjdzie z fazy tęczowych zapowiedzi pogody — że stanie się praktyczną, szarą rzeczywistością. Pragnąć tego muszą wszyscy, którzy chcą widzieć pokój świata na stalowych nogach, którzy chcieliby widmo wojny odpędzić i rozproszyć. Ale już dziś jesteśmy świadkami doskonale pomyślanej propagandowej ofensywy niemieckiej. Bo czemże innem są układne słowa Hitlera pod adresem sprowadzonych do Berlina kombatantów francuskich? Ukazuje się miraż pokoju wszechświatowego dobrobytu i odrodzenia ekonomicznego, o ile tylko dwa *przodujące narody:* Niemcy i Francja zdołają się porozumieć! Rzuca się tę przynętę wówczas, gdy porozumienie włosko-francuskie zdaje się dobiegać do mety. Rzuca się tę przynętę wówczas, gdy się wie, że p. Laval innem okiem patrzy na zbliżenie z Niemcami, niż to widział i odrzucał Barthou!

Za cenę tej przynęty — już podchwyconej w Paryżu przez część prasy filoniemieckiej, jak „Presse", „Victoire" — chce się zmącić porozumienie z Włochami.

Siew intrygi rozpoczęty.

Argument prestiżowy, drażniący, o *przodujących* narodach z wykluczeniem Włoch również puszczono w ruch.

Jednym strzałem pragnie się zdobyć dwa łupy: pokłócenie Francji i Włoch i wzmożenie swych szans w plebiscycie w Zagłębiu Saary!

Skoro Hitler zapowiada, Goebbels potwierdza, a Ribentropp eksportuje możliwość porozumienia z Paryżem, to pocóż mieszkańcy Saary mieliby głosować przeciw Niemcom? Ten syreni trój-głos hitlerowski zdaje się mówić mieszkańcom Saary: „widzicie, my się przecież z Francją pogodzimy, my tego chcemy dla dobra pokoju — pocóż więc macie głosować za Francją lub za status quo".

Stara metoda — wypróbowana metoda — dająca rezultaty metoda!—Polubowność — byle zacząć targ — a gdy się już przeciwnika wciągnie na pochyłość targów, wtedy rosnąca nieustępliwość. Wzmóc oporność Francji w rozmowach z Włochami, łudząc ją zbliżeniem z Niemcami — a gdyby dało to rezultat i uniemożliwiło zbliżenie włosko - francuskie, wówczas zaostrzyć ton z Francją nieuzbrojoną w solidarność Włoch. A w międzyczasie obałamucić, przerazić wyborców Saary — urwać kilkanaście tysięcy głosów mniej uświadomionych przeciwników Hitlera.

Gra wyraźna, gra przejrzysta — ale ileż już razy grając temi kartami Niemcy wygrywały!

NA NOWYCH STALOWYCH SZLAKACH

(Warszawa—Radom, Kraków—Miechów)

W rozwoju kolei polskich mamy znowu do zanotowania dwie doniosłe pozycje — jakiemi jest uruchomienie oddawna potrzebnych linji kolejowych między Warszawą i Radomiem oraz Krakowem a Miechowem. Dotychczasowe bowiem połączenie tych punktów było niedogodne zarówno pod względem pasażerskim, jak i towarowym — pociągającem i stratę czasu i znaczny koszt przejazdu.

Dzięki uruchomieniu nowych linji, podróż skraca się o kilkadziesiąt kilometrów. Odległość między Warszawą a Krakowem z 364 klm. zmniejsza się do 321, między Warszawą a Radomiem ze 160 do 103; wreszcie między Krakowem i Miechowem ze 128 do 42!

Bogata i wybitnie rolnicza ziemia kielecka otrzymawszy bezpośrednie połączenie z przemysłowym okręgiem krakowskim zyskuje zwiększone możliwości zbytu ziemiopłodów przez ogromne obniżenie taryfy towarowej. Wywóz z Krakowskiego niewątpliwie też wpłynie na ożywienie przemysłu w Kielecczyźnie, leżącej dotychczas niejako na uboczu i komunikującej się z Warszawą i Krakowem szlakami okrężnemi. Drugim ważnym i nie bez znaczenia czynnikiem jest powstanie na nowych linjach szeregu stacji, które w niedalekiej przyszłości zaczną dokoła siebie wytwarzać osiedla ludzkie, znajdować możliwości handlowe i przyczyniać się do podniesienia dobrobytu.

Nie wolno zapominać o zagadnieniach turystycznych. Monotonna i beznadziejnie nudna droga z Warszawy do Krakowa przez Częstochowę zmieniona zostaje na krótszą i malowniczą przez Kieleckie. Zbliżają się do szlaku kolejowego w ten sposób góry Świętokrzyskie, nieznane zupełnie ogółowi, a należące do najpiękniejszych zakątków Polski. Włączenie ich do turystycznego koncernu spowodować może znaczne odciążenie letniskowe przepełnionych rok rocznie uzdrowisk małopolskich i rozszerzenie horyzontów wycieczkowych.

Linje wykonane zostały dużym nakładem pracy i kapitału, gdyż przerzucono je przez tereny zupełnie „dziewicze", licząc się przedewszystkiem z eksploatacją wszystkich przypuszczalnych korzyści. Falistość na szlaku Kraków — Miechów, pociągająca za sobą zwiększenie robót ziemnych i betonowych, podniosła znacznie koszt, tak że budowa kilometra linji na tym odcinku wyniosła około 410.000 zł., podczas gdy między Warszawą a Radomiem tylko 230.000 zł. Z większych objektów wymienić należy piękny most przez Pilicę. Między Warszawą i Radomiem powstało sześć nowych stacji: Piaseczno, Zalesie Górne, Chyrzów, Warka, Dobieszyn, Bartodzieje; między Krakowem i Miechowem pięć, a mianowicie: Batowice, Łuczyce, Słomniki, Miechów i Tunel.

Otwarcie linji kolejowych przybrało charakter wprost manifestacyjny. Wzdłuż całej drogi samorzutnie gromadziła się ludność, pragnąc zadokumentować swoją wdzięczność, a zarazem zobaczyć pierwszy pociąg.

Główne punkty uroczystości przypadły w Krakowie, Radomiu, Kielcach, oraz na nowo wzniesionych stacjach, na których entuzjastycznie witano dostojników, w słowach prostych, nieraz naiwnych dziękując za dobrodziejstwo nowej kolei. Szczególnie pięknie wypadło wystąpienie ludności Słomnik. Na stacji, obok delegacji wojskowych, kolejowych i społecznych zwracała uwagę barwną plamą grupa kosynierów w malowniczych strojach, przypominając odległe czasy insurekcji kościuszkowskiej, żywy udział ziemi Kieleckiej w walce o wolność, powtórzonej raz jeszcze w pamiętnym roku 1914.

Niezwykły widok przedstawiał również pawilon „restauracyjny" w Bartodziejach, w którym spożyto śniadanie wraz z robotnikami, pracującymi przy budowie linji. Na trzydziestu platformach towarowych, łącznej długości 330 m., ułożono pomost i ustawiono stoły, do których zasiadło równocześnie 1080 osób! Dostojnicy państwowi, pomieszani z robotnikami, zajadający z cynowych menażek polowy obiad, stanowili żywy symbol braterstwa pracy.

Niemal przez całą drogę sunął pierwszy pociąg szpalerem, utworzonym przez okoliczną ludność. Surowe twarze chłopskie, roześmiane, a zarazem zdziwione twarzyczki dzieci, powiewających czapczynami i wznoszących entuzjastyczne okrzyki, były najpiękniejszym może hołdem i podzięką dla wielkiego dzieła kolejnictwa polskiego, które już tyle zdziałało dla dobra i przyszłości kraju.

Naprzykład, na niewykończonym jeszcze przystanku Dobieszyn wzdłuż toru i w sąsiednim lesie utworzył się istny tabor z wózków chłopskich, którzy wraz z rodzinami zjechali z okolicy, aby dać wyraz swojej radości. Obywatelskim przykładem współpracy z państwem był czyn mieszkańców Zalesia Górnego. Własnym kosztem zbudowali oni drewniany dworzec, a w czasie powitania złożyli na ręce p. premjera 500 zł. na powodzian.

Uroczystość otwarcia linji zaszczycił swoją obecnością Pan Prezydent Mościcki, który dokonał osobiście przecięcia symbolicznej wstęgi w Krakowie i odbył podróż do Radomia. Linję Radom — Warszawa otworzył p. premjer Kozłowski. Nadto w uroczystościach wzięli udział: ministrowie Butkiewicz, Rejchman, W. Jędrzejewicz, b. premjerzy: Sławek i Prystor, wiceministrowie Bobkowski, Piasecki, gen. Konarzewski i Osiński, marszałek Świtalski, oraz liczne grono wyższych urzędników ministerstwa komunikacji, przedstawiciele samorządów, prasy krajowej i zagranicznej.

Na obu linjach, nazajutrz po poświęceniu, uruchomiono po jednej parze pociągów osobowych. Całkowita eksploatacja pasażerska i towarowa rozpocznie się od letniego rozkładu.

J. S. W.



Pan Prezydent, p. premjer Kozłowski i min. Butkiewicz wzięli udział w Miechowie w śniadaniu robotników. Fot. Pat

L. PIRANDELLO.

O SKRUPUŁACH WYOBRAŹNI

Pirandello nie jest pisarzem „lekkim". Aby go zrozumieć, aby się nim zachwycić, trzeba go dobrze poznać i trochę nad tem popracować. Autor bardzo rzadko podaje komentarze, któreby myśl jego wyjaśniły. Niezmiernie cennym takim komentarzem — może jedynym w twórczości tego pisarza — jest jego rozprawa z krytykami, zamieszczona w zakończeniu powieści Pirandella „Św. pamięci Mateusz Pascal". Zamieszczamy ją dziś, w przekonaniu, że wzmożone zainteresowanie systemem twórczym Pirandella — po otrzymaniu przez niego Nagrody Nobla — wymaga dla wielu czytelników pewnego zbliżenia i wyjaśnienia tego niezwykłego autora. Sam Pirandello uczyni to najlepiej.

Pan Albert Heintz z Buffalo w Stanach Zjednoczonych, w rozterce między miłością żony a miłością pewnej dwudziestoletniej panny, uważa za stosowne zaprosić obie na spotkanie dla wspólnego powzięcia decyzji.

Obie kobiety i pan Heintz schodzą się o oznaczonej porze w umówionem miejscu, długo dyskutują, i wreszcie uzgadniają swe zamiary.

Decydują się wszyscy troje na popełnienie samobójstwa.

Pani Heintz wraca do domu, strzela do siebie z rewolweru i umiera. Wtedy pan Heintz i zakochana w nim panna, zważywszy, że ze śmiercią pani Heintz znikła jedyna przeszkoda na ich drodze, stwierdziwszy, że nie mają już żadnego powodu do samobójstwa, postanawiają pozostać przy życiu i pobrać się. Inaczej jednak postanawiają władze sądowe, i aresztują ich.

Zakończenie najzwyklejsze.

(Zobacz dzienniki z Nowego Yorku, z dnia 25 stycznia 1921, wydania poranne).

* * *

Przypuśćmy, że nieszczęsnemu autorowi dramatycznemu przyjdzie do głowy wprowadzenie na scenę podobnego wypadku.

Można być pewnym, że fantazja jego będzie uważała za swój obowiązek złagodzić przedewszystkiem absurdalność samobójstwa pani Heintz, dla przedstawienia go w sposób choć trochę prawdopodobny.

Ale można być jednocześnie pewnym, że pomimo wszystkich bohatersko przez autora zastosowanych sposobów zaradzenia złemu, dziewięćdziesięciu dziewięciu na stu krytyków teatralnych orzeknie, że to samobójstwo jest bezsensowne, a sztuka nieprawdopodobna.

Bo życie, przy wszystkich najbezczelniejszych głupstwach, małych i wielkich, których jest pełne, posiada nieoceniony przywilej — obchodzenia się bez tego idjotycznego prawdopodobieństwa, któremu sztuka uważa za stosowne ulegać.

Absurdy życiowe nie dbają o prawdopodobny pozór, gdyż są prawdziwe. Przeciwnie, absurdy w sztuce, aby wydać się prawdziwe, muszą być prawdopodobne. Ale wówczas, jako prawdopodobne, przestają być absurdami.

Jakiś wypadek w życiu może być bezsensowny. Dzieło sztuki — o ile jest dziełem sztuki — nie.

Stąd wniosek, że zarzucanie dziełu sztuki absurdalności i nieprawdopodobieństwa w imię życia jest nonsensem.

W mię sztuki, tak. W imię życia, nie.

* * *

Istnieje w historji naturalnej pewna dziedzina, którą zajmuje się zoologja. Dziedzina zaludniona przez zwierzęta. Do zwierząt, które ją zaludniają, zaliczany jest i człowiek.

I zoolog, owszem, może mówić o *człowieku*, aby stwierdzić, naprzykład, że nie jest to zwierzę czworonożne, lecz dwunożne, lub że nie posiada ogona jak małpa, jak osioł, albo jak paw.

Człowiekowi, o którym mówi zoolog, nie może się zdarzyć nieszczęście utraty, przypuśćmy, nogi i zastąpienia jej nogą drewnianą. Utraty oka i zastąpienia go okiem ze szkła. Człowiek zoologa posiada zawsze dwie nogi, i żadna z nich nie jest z drewna. Zawsze dwoje oczu, i żadne z nich nie jest ze szkła.

Sprzeciwiać się zoologowi jest rzeczą niemożliwą. Bo zoolog, jeśli mu pokażecie człowieka z nogą drewnianą albo ze szklanem okiem, odpowie wam, że go nie zna. Osobnik taki nie jest bowiem *człowiekiem* wogóle, lecz pewnym *określonym człowiekiem.*

Jednakże każdy z nas może z kolei odpowiedzieć zoologowi, że człowiek wogóle, którego on zna— nie istnieje. Że natomiast istnieją poszczególni *ludzie*, z których żaden nie jest podobny do drugiego, a każdy z nich może mieć z powodu wypadku drewnianą nogę albo oko ze szkła.

W tem miejscu zapytuję, czy chcą być uważani za zoologów czy za krytyków literackich wszyscy ci panowie, którzy, sądząc powieść, nowelę lub komedję, potępiają tę lub ową postać, to lub owo przedstawienie faktów lub uczuć nie w imię sztuki, jakby należało, ale w imię jakiegoś *człowieczeństwa*, które jakoby właśnie im znane jest doskonale, tak jakby rzeczywiście istniało ono w formie oderwanej, to jest poza tą nieskończoną rozmaitością ludzi, zdolnych do popełniania wszelkich możliwych głupstw, *które bynajmniej nie potrzebują pozorów prawdopodobieństwa, bo są prawdziwe.*

* * *

Tymczasem z doświadczeń moich z takimi właśnie krytykami najlepsze jest to: że podczas gdy zoolog uznaje, iż człowiek odróżnia się od innych zwierząt także przez fakt, iż człowiek myśli, a zwierzęta nie — właśnie rozumowanie (czyli to, co jest dla człowieka najbardziej charakterystyczne) uważali nieraz panowie krytycy nie za nadmiar, ale raczej za pewien brak człowieczeństwa wielu moich niewesołych postaci. Albowiem zdaje się, że *człowieczeństwo* polega dla nich raczej na uczuciu niż na rozumowaniu. Chcąc jednak mówić tak abstrakcyjnie, jak ci krytycy, czyż nie jest faktem, że człowiek rozumuje (albo bredzi, co na jedno wychodzi) — najbardziej namiętnie wtedy, gdy cierpi, właśnie dlatego, że chce dostrzec źródło swojego cierpienia. Natomiast, gdy jest szczęśliwy, bierze sobie szczęście zwyczajnie i nie myśli, tak jakby

szczęście z prawa mu się należało?

Obowiązkiem zwierząt jest cierpieć bezmyślnie. Kto cierpi i myśli (właśnie dlatego, że cierpi), ten dla owych panów krytyków nie jest *ludzki*. Bo podobno w cierpieniu powinno się być wyłącznie zwierzęciem, i tylko będąc *zwierzęciem* można się panom krytykom wydać *człowiekiem*.

* * *

Jednakże spotkałem niedawno krytyka, dla którego mam wiele wdzięczności.

Z racji mojej *nieludzkiej* i, jakoby, nieuleczalnej „mózgowości" oraz paradoksalnego nieprawdopodobieństwa moich opowieści i moich postaci, krytyk ten zwrócił się do tamtych krytyków z pytaniem, skąd biorą kryterja do sądzenia świata mojej twórczości.

„Czyżby z tak zwanego *życia normalnego?*"—zapytał. „A czemże ono jest, jeśli nie pewnym układem stosunków, które wybieramy z chaosu codziennych zdarzeń, i które potem arbitralnie mianujemy *normalnemi?*"

Zakończył twierdząc, że „nie można sądzić świata stworzonego przez artystę za pomocą kryterjów czerpanych z poza jego świata".

Zmuszony jestem dodać, (dla podniesienia autorytetu owego krytyka wobec innych), że pomimo to, a raczej właśnie dlatego, on także sądzi moją twórczość nieprzychylnie: uważa bowiem, że nie potrafię dać moim opowiadaniom i postaciom znaczenia i wartości ogólnoludzkich. Tak, że kto ma o nich wyrazić swój sąd, trwa w niepewności, czy przypadkiem nie było moim celem ograniczyć się do pokazania pewnych osobliwych wypadków, pewnych bardzo specjalnych sytuacji psychologicznych.

Ale gdyby wartość i znaczenie ogólnoludzkie moich opowieści i moich postaci — w konflikcie, jak twierdzi mój krytyk, między rzeczywistością a złudzeniem, między obliczem indywidualnem a jego socjalnym obrazem — polegały przedewszystkiem na podkreśleniu wartości tego pierwszego kontrastu, który przez jakieś niezmienne szyderstwo życia okazuje się zawsze nieuchwytny, jako że z konieczności niestety, każda rzeczywistość dzisiejsza okazuje się jutro złudzeniem, ale złudzeniem potrzebnem, bo poza niem, niestety, niema dla nas rzeczywistości innej? Gdyby polegały właśnie na tem, że jakiś mężczyzna, czy jakaś kobieta, postawieni z własnej winy lub z winy innych w przykrej sytuacji, społecznie anormalnej, do niemożliwości bezsensownej, trwają w niej jednak, znoszą ją i grają swą rolę przed innymi, *dopóki jej sami nie zobaczą*, choćby przez swą ślepotę albo przez niewiarogodną łatwowierność. Bo kiedy tylko ją ujrzą — jakby w lustrze, które im podsunięto — już jej wytrzymać nie mogą: już mają do niej wstręt i przełamują ją, a jeśli jej przełamać nie zdołają, czują się blizcy śmierci?

Gdyby polegały właśnie na tem, że sytuację społecznie nienormalną toleruje się, nawet gdy się ją widzi odbitą w lustrze, które w tym wypadku osłania przed nami nasze własne złudzenie? A wtedy gra się swoją rolę pomimo męki, którą niesie, dopóki tylko ta gra jest możliwa pod dławiącą maską którąśmy sobie narzucili sami, albo którą nam narzucili inni — a więc do chwili kiedy pod tą maską jakieś nasze zbyt żywe uczucie zostanie tak dotkliwie zranione, że wreszcie wybuchamy buntem, zrywając i depcząc naszą maskę?

„A wtedy, — powiada ów krytyk — postacie te zalewa fala człowieczeństwa, marjonetki nagle stają się istotami z ciała i krwi, i wypowiadają słowa, które spalają dusze i rozrywają serca na strzępy".

Ja myślę! Odkryły własną nagą twarz pod tą maską, która z nich robiła kukły w rękach innych ludzi. Która dawała im pozór twardy, drewniany, kanciasty, bez wykończenia i bez wytworności, skomplikowany i niezdarny, jak pozór wszelkiej rzeczy powstałej nie z wyboru, ale z konieczności, w położeniu nienormalnem, nieprawdopodobnem i paradoksalnem.

Zamęt, jeśli jest, jest więc celowy. Mechanizm, jeśli jest, jest potrzebny. Ale nie mnie, tylko samemu biegowi zdarzeń, samym moim postaciom. Odsłania się on zresztą natychmiast: często jest skonstruowany rozmyślnie i pokazany właśnie w chwili gdy go buduję: jest to maska na jedno przedstawienie; gra ról; to czem chcielibyśmy, albo powinnibyśmy być; to czem wydajemy się innym. Tymczasem czem jesteśmy — nie wiemy sami, do pewnego stopnia; niezdarną, chwiejną metaforą nas samych. Obrazem często sztucznym, który stwarzamy z siebie, albo który z nas tworzą inni. Słowem — rzeczywiście mechanizmem, w którym każdy, świadomie, powtarzam, jest własną marjonetką. Aż przychodzi końcowe kopnięcie, które wywraca do góry nogami całą budę.

Myślę, że nie pozostaje mi nic innego, jak powinszować mojej własnej wyobraźni, jeżeli, ze wszystkiemi swojemi skrupułami, udało jej się podać za rzeczywiste te wady, które stworzyła świadomie: wady sztucznej konstrukcji, którą postacie zbudowały dla siebie i dla swego życia, albo którą im wznieśli inni: wady *maski* dopóki nie zostanie obnażona.

Przekład
Z. Norblin-Chrzanowskiej.



„Sześć postaci scenicznych w poszukiwaniu autora"—L. Pirandello.
(Teatr Mały w Warszawie)

ŚWIAT TEATRU



Parysiewiczówna i Surzyński

Fot. Bil

TEATR ATENEUM

„Typ A" — komedja Marji Morozowicz - Szczepkowskiej. Reżyserja Z. Modrzewskiej. Dekoracje T. Roszkowskiej.

Dwie inteligentne damy rozmawiały ze sobą w kawiarni o ostatniej sztuce Szczepkowskiej. Mówiły bardzo głośno, aby i sąsiedzi coś przecież na tem skorzystali. Jedna rzekła: „Jeszcze tej sztuki nie widziałam. To podobno takie straszne „świństwo"?

„Ależ nie — odpowiedziała druga — to jest tylko sprośne. A przecież między sprośnością a świństwem jest gruba różnica"...

Tymczasem „Typ A" jest poprostu wcale dobrze skonstruowaną farsą. Nie należy oczekiwać od tej sztuki ani głębi ujęcia, ani zagadnień społecznych, ani psychologji. Od farsy wymaga się jedynie, aby była zabawna.

Ktoby chciał do tej wesołej farsy przykładać inną miarę — przepadł. Bo ani psychologji, ani logiki, ani prawdopodobieństwa doszukiwać się w niej nie należy. „Typ A" jest żartem autorki — żartem chwilami dość ryzykownym, w paru zwrotach i zdaniach za ostrym i za grubym. Gdyby usunąć ze sztuki kilkanaście zupełnie niepotrzebnvch słów, pozostałaby sztuka, która wobec pierwszej lepszej pieprznej francuskiej farsy wyglądałaby niemal niewinnie.

Chodziły gadki, że w „Typie A" pokazuje się na scenie ...zupełnie nagi mężczyzna! I ujrzeliśmy rzeczywiście młodego człowieka, ale znacznie bardziej ubranego od wszystkich występujących w cyrku atletów, i od wszystkich mieszczuchów, kąpiących się na warszawskich plażach.

Zobaczyliśmy pozatem na scenie młodą malarkę — swobodną w geście i w mowie.

Pokazano nam jeszcze rzewną umoralniającą „Mańkę - prostytutkę" — jedyną nieudaną postać w sztuce, wwindowaną bez potrzeby na koturny. Taką prostytutkę, co to na służącą wprawdzie nigdzie nie pójdzie, bo to dla niej za ciężko: ale chodzi do kościoła, spowiada się, i, jako dziewczyna przezorna, ma nawet książeczkę w P. K. O., a na niej uskładane dwa tysiące złotych.

I jest jeszcze w tej sztuce „uczona", której nikt nie może brać na serjo, bo ją wykpiła ze wszystkich sił sama autorka. Ta uczona, to typowy „gelehrter Esel", który sobie wysmażył w tępym móżdżku jakąś cudowną teorję poprawienia rasy ludzkiej przez hodowlę. A kiedy poraz pierwszy w życiu podnosi wyblakłe oczy z nad zapisanych kartek i widzi przed sobą życie — w postaci młodego i niebrzydkiego mężczyzny — to oczywiście traci głowę i teorję wikła z praktyką.

Dostały się właściwie od autorki niemiłosierne cięgi wszystkim: bo i ten bezroboczy niedołęga, który zamarzł w bramie, inteligent bez rozmachu życiowego, odratowany przez trzy kobiety, potraktowany jest z taką samą drwiną, jak uczona. Wygłasza on tam wprawdzie tu i owdzie jakieś zasadnicze tyrady — ale nie znaczy to wcale, abyśmy go mieli brać poważnie. Dał się odchuchać, odżywić, ubrać, a po parotygodniowym pobycie u uczonej dziewicy kłania się grzecznie i zamierza sobie pójść bez podziękowania. Wtedy kobiety protestują: uczona każe mu przepisywać rękopis swego dzieła, malarka — pozować do obrazu i sprzątać pracownię. A Mańka — niczego nie żąda, i naturalnie wszystko otrzymuje.

Kiedy w zwykłej kolei rzeczy i uczona już została kochanką młodzieńca, a malarka proponuje mu to samo stanowisko — uczciwy młodzian zabiera się tym razem naprawdę i odchodzi. Ma w kieszeni pięćset złotych, zarobionych pozowaniem, więc jeszcze jutro w bramie nie zmarznie.

Sztuka wyreżyserowana i grana była doskonale. Jakaż to wielka przyjemność — widzieć na scenie nowe twarze, słuchać głosów zupełnie nieznajomych i stwierdzić, że to jednak są aktorzy z prawdziwego zdarzenia, których wcale

Gruszecka i Parysiewiczówna

Fot. Bil



nie trzeba traktować z pobłażliwością, ani przykładać do nich miary teatru popularnego!

Niewątpliwie zasługa to w pierwszym rzędzie świetnej reżyserki, Zofji Modrzewskiej, która nadała każdej postaci właściwy ton, a sztuce odpowiednie tempo. Gdyby jeszcze ten doświadczony człowiek teatru, jakim jest Modrzewska, przeprowadził skreślenie kilku zbędnych niesmacznych jaskrawości (jak np. wyrzucanie z poza parawanu części garderoby męskiej przez wzburzonego młodziana, gdy ma na żądanie malarki stanąć przed nią nago, aby pozować do Apollina) — uniknęłoby się tych kilku szczegółów, które obniżają artystyczną wartość całości i stanowią nietyle dowód zawadjackiej odwagi kobiecej, ile chęci dogodzenia gustom publiczności najmniej wybrednej. Sztuka i bez tego miałaby powodzenie, zwłaszcza, że aktorzy stoją najzupełniej na wysokości zadania.

Parysiewiczówna w roli malarki Izy jest piękna i kusząca, gra bez przejaskrawień, mówi inteligentnie i rusza się estetycznie.

Świetny z nią kontrast stworzyła „uczona", którą zagrała Gruszecka. Dała typ groteskowy od pierwszej do ostatniej sceny, wytrzymany doskonale w charakterze. A że jej *autorka* chwilami kazała zbytnio szarżować (np. pod koniec sztuki ciągle: „zastrzyk, zastrzyk") — to już nie wina artystki. Mańka jest rolą papierową — i młodziutka Krynicka nic z niej wydobyć nie mogła. Była ładna i często miała bardzo trafne akcenty. Gdy jej kazano rezonować — robiła nadludzkie wysiłki, aby to uprawdopodobnić: i chwilami jej się to nawet udawało. Parysem wśród tych trzech bogiń był młody aktor, Surzyński. Rolę miał nie najłatwiejszą, bo niejednolitą. Gdy bohater jest groteskowy — rzecz się jako tako trzyma. Gdy wpada w ton poważny—sztuka i rola kuleje. Wydaje się w każdym razie, że w rękach starannego reżysera będzie to materjał na dobrego aktora.

Epizodzik wytwornego starego księcia zagrał z humorem Biegański: doświadczony i utalentowany ten artysta ma jako dyrektor nieocenioną zaletę, że nie pcha się do wszystkich ról, od farsy do tragedji, jak to zwykle czynią ci, którzy mają w swych rękach decyzję o obsadzie. Posiada natomiast rzadką zdolność wyławiania młodych talentów i umiejętnego pokierowania nimi. W epizodycznych rólkach dozorcy i dozorczyni zaznaczyli się charakterystycznie E. Fertner i Paziówna.

Dekoracje staranne i pomysłowe. Różnica między ascetyczną surowością pokoju uczonej a rozmarzającym artystycznym nieładem pracowni pięknej malarki uchwycona i podkreślona dowcipnie.

Z. N. Ch.

TEATR LETNI

„Kwiecista droga" — komedja Katajewa, reżyserja Chaberskiego.

Komedja Katajewa ma właściwie teatralnie jeden znakomity akt, w którym mąż i niedoszły kochanek wydzierają sobie wzajemnie nietyle powabną Wierę Gasgolder, ile jej cenne futro. W innych aktach tempo rozwoju akcji jest nieco za powolne, choć to, co się dzieje na scenie, interesuje nas już chociażby dlatego, że dzieje się w Sowietach i wykpiwa z zupełną swobodą ludzi, hasła, ideały, instytucje i programy. Widocznie teraz jest to już w Sowietach dozwolone...

Wielki pasożyt reżymu, prelegent radjowy Zawjałow — to figura centralna sztuki. Frazesowicz, egoista i zawodowy leń — głosi wzniosłe hasła wygodne dla siebie, innym pozostawiając prace trudniejsze i mniej lukratywne. Zepsuty powodzeniem u kobiet opuszcza nudną żonę, która mu głowę suszy o pieniądze i robi sceny zazdrości. Przeprowadza się do młodej komsomołki, która, aby mu się podobać, popełnia nadużycie w kasie fabryki. Gdy od niego żąda pieniędzy dla ratowania swego dobrego imienia — Zawjałow, obdarzony wrodzonym wstrętem do dawania, unosi się „oburzeniem moralnem" i pozostawia ją własnemu losowi, zabierając swe lary i penaty gdzieindziej.

Wyruszyłby na słoneczny Krym z perwersyjną semitką, Wierą Gasgolder, która mu się dawno narzuca ze swą miłością — ale zatarg z jej mężem o cenę futrzanego płaszcza niweczy te plany. Nie mając gdzie się podziać — zmęczony tułaczką po ulicach Moskwy — wraca do Maszy, dawnej swojej żony, w bezdennej swej próżności przekonany, że zostanie przyjęty łzami rozrzewnienia i radości.

Ale nie liczył się z tem, że przeszły trzy miesiące. Jego Masza została tymczasem — żoną innego. I jemu udzielić już zechce tylko kąta w przechodnim pokoju, kąta, w którym znakomity prelegent czuć się będzie jak piąte koło u wozu.

W starannej reżyserji Chaberskiego komedja Katajewa, zwłaszcza akt trzeci, odegrana była bardzo żywo. Maszyński grał z humorem i perypetjami swemi śmieszył widzów do łez. Świetna była Różańska w roli *ogromnie inteligentnej i ogromnie pozbawionej przesądów* wampirzycy.

Jubilatka Michalina Łaska zagrała doskonale i z niezmienną żywością gestu i intonacji rolę babki. Kurnakowicz był poczciwym doktorem, jednym z tych, których kobieta musi dobrze poznać, aby ich wartość ocenić. Masza Borowskiej, zanadto łzawa i tragiczna przy rozstaniu, wypadała nieco z tonu całości. W pozostałych rolach wyróżnili się: Jarszewska, Tatarkiewicz - Woskowska, Kajzerówna i Znicz.

Dekoracje bardzo trafnie odtwarzały kolejne środowiska, w jakich rozgrywają się dzieje lekkomyślnego Zawjałowa.

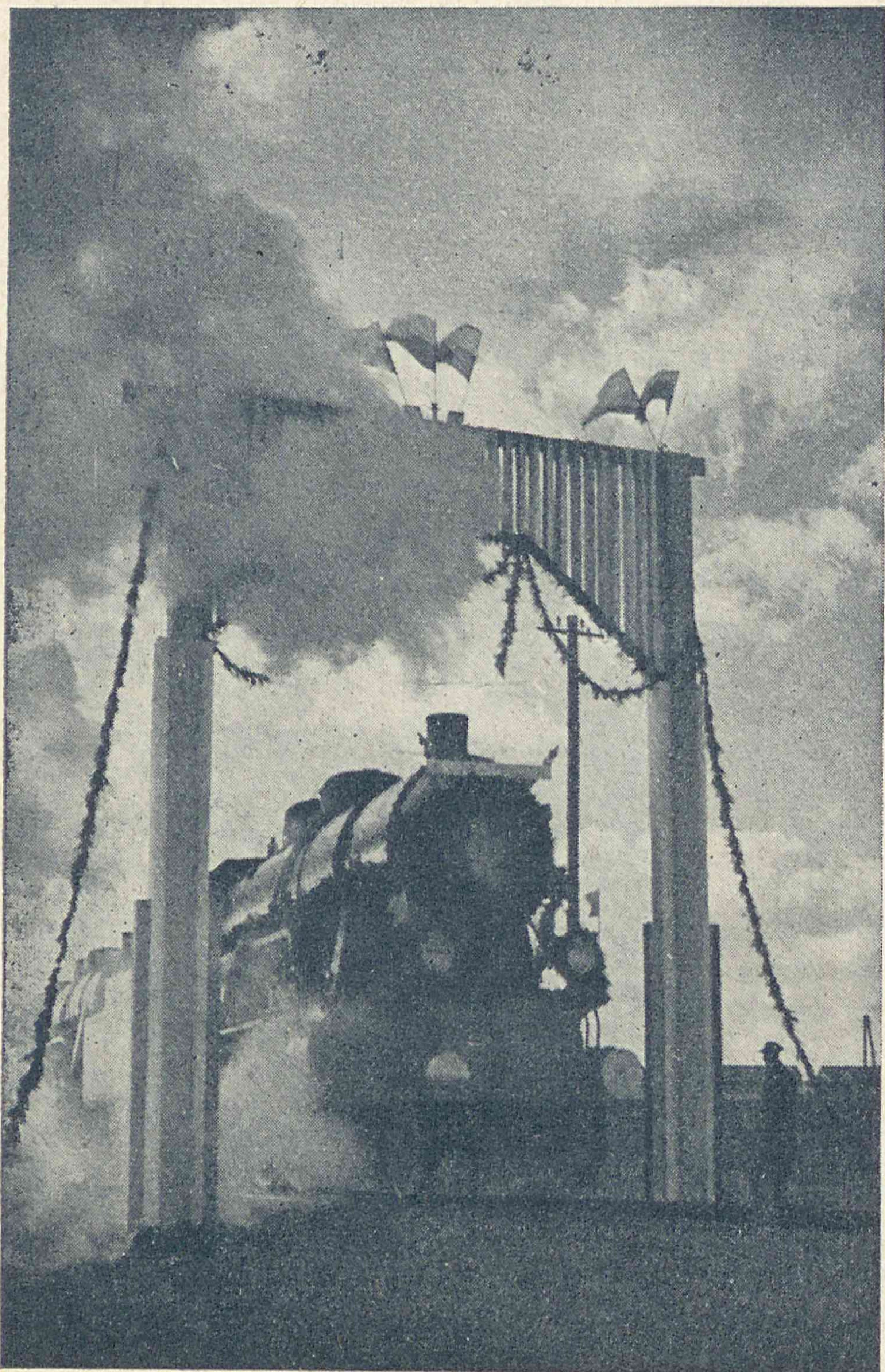
Sztuka ta rzuca nowe światło na życie w Sowietach. Okazuje się, że wolno tam teraz kpić z haseł partyjnych, że komsomołka może popełnić nadużycie, że istnieją i w Sowietach bogaci izraelici, że wolną miłość się potępia, a pseudowolne związki wyszydza, — natomiast apoteozuje się w sposób naiwny i prostolinijny — rodzinę, zwykłą mieszczańską rodzinę. Koło rozwoju pojęć zatoczyło 360 stopni i wróciło na dawne miejsce.

Z. N. Ch.

Michalina Łaska i Maszyński


FOT. J. MALARS

UROCZYSTA INAUGURACJA NOWYCH LINJI KOLEJOWYCH



Pierwszy pociąg nowej linji kolejowej wjeżdża pod łukiem tryumfalnym na stację Kraków.

Fot. PAT.





Zdjęcie obok: Pana Prezydenta w Słomnikach witają kosynierzy







Zdjęcie górne przedstawia poświęcenie linji Radom—Warszawa



TYDZIEŃ „ŚWIATA"

Maskarada

(ch) Warszawa ma być piękna. Warszawa ma mieć wygląd godny stolicy państwa 34-miljonowego narodu!

Upiększajmy Warszawę! Okrywajmy kwieciem balkony i okna. Urządzajmy konkursy wystaw, ulic, słupów, plakatów!

Upiększajmy stolicę! Takie hasła, słuszne hasła, piękne hasła rzucają włodarze stolicy, prezydenci, komisarze, wojewodowie, radni, architekci, malarze, konserwatorzy, urzędy budowy, odbudowy, przebudowy, propagandy.

Warszawa się opiera, Warszawa nie lubi radykalnych zmian. Ale jakże nie ma się opierać, skoro otrzymuje od czasu do czasu takie poglądowe wykłady piękna i estetyki. Oto nagle, w roku pańskim 1934 na jednym z centralnych placów stolicy, na placu Napoleona skrzyżowano szereg pomalowanych żerdzi i wystrzelono w niebo gigantycznemi literami: „Maskarada". Dotąd sądziliśmy, że place są poto, by być rezerwuarem zieleni i odrobiny powietrza, że mają tworzyć ozdoby miast, pozwalać rosnąć po bokach gmachom reprezentacyjnym, że od nich zależy perspektywa miasta. Obecnie wiemy, że tak nie jest. Place są poto, by je zaśmiecać, by szalety - plakaty z polakierowanych żerdzi przecinały ich architekturę, ich perspektywę.

„Maskarada, Maskarada" wyła dysonansem reklama z placu Napoleona przez szereg tygodni! Gdzież są te wszystkie komitety zdobnictwa i sztuki, te instytuty propagand, te pięknoduchy upiększania stolicy? Obecnie „Maskarada" uszlachetniła się, zmieniając się w „Księżniczkę", ale lakierowane drągi i deski zostały —zapowiadając „ciągłość" tej szpetoty! Czyż nie znajdzie się szoferesteta (skoro komisje artystyczne poślepły), co pełnym gazem gruchnie w te dyle— oswabadzając plac Napoleona z inwazji tego widocznie zażywnie zasiadającego się prowizorjum szpetoty.

Głos Anglji

(l) W zamęcie, jaki wytwarza się ostatnio w Europie, znowu odsłania się stara prawda: od jasnego stanowiska Anglji zależy opanowanie sytuacji.

Ta prawda, znana powszechnie od 1914 r., znów się uzewnętrzniła. Niemcy w takich sprawach, jak Zagłębie Saary, jak Austrja, wysyłały po za kanał trwożny głos. Czyniono wszystko, aby Anglję „zlokalizować". Aby wmówić w jej kierowników, by kontynent pozostawili samemu sobie. Ostatnia podróż Ribentroppa — to przedewszystkiem miała na celu. Podsycanie niechęci Włoch do Francji, podtrzymywanie odrazy Anglji do brania na siebie jakiejkolwiek odpowiedzialności w Europie — oto intencje i manewry Niemiec. Tą drogą chciałyby one doprowadzić do izolowania Francji i do rozpoczęcia z nią targów dopiero wówczas. Ale ostatnio w polityce angielskiej daje się zauważyć coraz więcej trzeźwości. Już od chwili, gdy parę miesięcy temu Baldwin oznajmił, iż Anglja musi uważać, że jej granica wobec rozwoju lotnictwa jest nad Renem, zaczęto coraz baczniej uważać i zbierać informacje o Niemczech. A skoro Anglja „informuje się" — to czyni to dokładnie, wszechstronnie i subtelnie. Nic też dziwnego, że od pewnego czasu od informacji o zbrojeniach niemieckich zaroiło się w Anglji. Ostatnie mowy angielskich mężów stanu wykazują coraz dobitniej, że wbrew pragnieniom Niemiec Anglja gotowa by była rzucić na szalę głos swój w chwili, gdyby to miało zaważyć na utrzymaniu spokoju i ładu w Europie. Izolacja Francji od tej strony nie udaje się.

Gwiazda Goeringa

(l) Pomimo posiadanej w dalszym ciągu wielkiej władzy, gwiazda Goeringa zdaje się blednąć. Równocześnie z tym chwilowym być może zmierzchem coraz silniej błyszczy na brunatnym firmamencie nowa gwiazda — Himmel. Himmel awansował i wybijał się powoli. Dziś jest szefem najtajniejszej policji, tej samej, którą organizował i której cugle trzymał Goering.

Premjerem Prus i dowódcą lotnictwa niemieckiego Goering jest nadal — ale ta władza nie daje mu już takiej możliwości przenikania wewnątrz organizacyjnych komórek partyjnych. Natomiast właśnie jako szef lotnictwa musi się on coraz więcej stykać z dowództwem Reichswehry, coraz bardziej umacniającej swe wpływy. Reichswehra również wcale nie ma zamiaru oddawać głos decydujący komukolwiek w tak ważnym dziale, jak lotnictwo. Pewne drobne organizacyjne tarcia i nieporozumienia już miały miejsce. Konflikt więc jest zawsze możliwy i zwolna narasta; gdy wybuchnie, ktoś będzie jego sędzią! Czyżby w przewidywaniu tego starcia coraz głośniej w otoczeniu Hitlera mówi się o... morfinomanji Goeringa?

Pierwsza partja... degeneratów odeszła 30 czerwca. A qui la suite?

„Takt"

Dotychczas obowiązywała w Polsce w sprawach intymnych, prywatnych, małżeńskich, elementarna bodaj dyskrecja, poczucie przyzwoitości i pewna delikatność uczuć. Płaczliwa książka pani Georgette Leblanc, porzuconej po wielu latach małżeństwa przez Maeterlincka, nie doznałaby przynajmniej w Polsce, życzliwego przyjęcia. Żerowanie na osobistych przeżyciach, przeliczanie swego uczucia dla sławnego czy popularnego człowieka na honorarjum „od wiersza" było i jest handlem wysoce niesmacznym — nawet gdy chodzi o człowieka żywego. Gdy chodzi o nieboszczyka — o świeżego trupa — staje się potworne.

Wszystko jedno, z jakiemi zamierzeniami przystępowała pani Wanda Melcer do opisywania swoich przeżyć z popularnym siłaczem cyrkowym, Sztekkerem. Już sama zapowiedź ukazania się serji „sensacyjnych feljetonów" pod wiele mówiącym tytułem „Dlaczego zostałam żoną Teodora Sztekkera?" —wywołała odruch oburzenia u wszystkich ludzi obdarzonych normalną wrażliwością.

Nikt nie wymaże ze szpalt „Expressu Porannego" owej uśmiechniętej fotografji poślubnej, którą pani Melcer uważała za stosowne ozdobić swój pierwszy artykuł.

Pani Melcer przestała tu być kobietą. Stała się wyłącznie i jedynie spekulantką. Spieniężyła świeżą jeszcze popularność człowieka, który zresztą od lat paru nie był już jej mężem. Choćby ze względu na pozostałą po nim wdowę należało powstrzymać się od wszelkiej ekshibicji. Kilkanaście wierszy hołdu — jeśli chodziło o uczczenie zmarłego — byłoby napewno wystarczyło. Ale że za parę miesięcy o Sztekerze nikt już nie będzie chciał czytać — więc trzeba było przehandlować ten temat póki aktualny, choć tak przykro zalatywał trupiarnią.

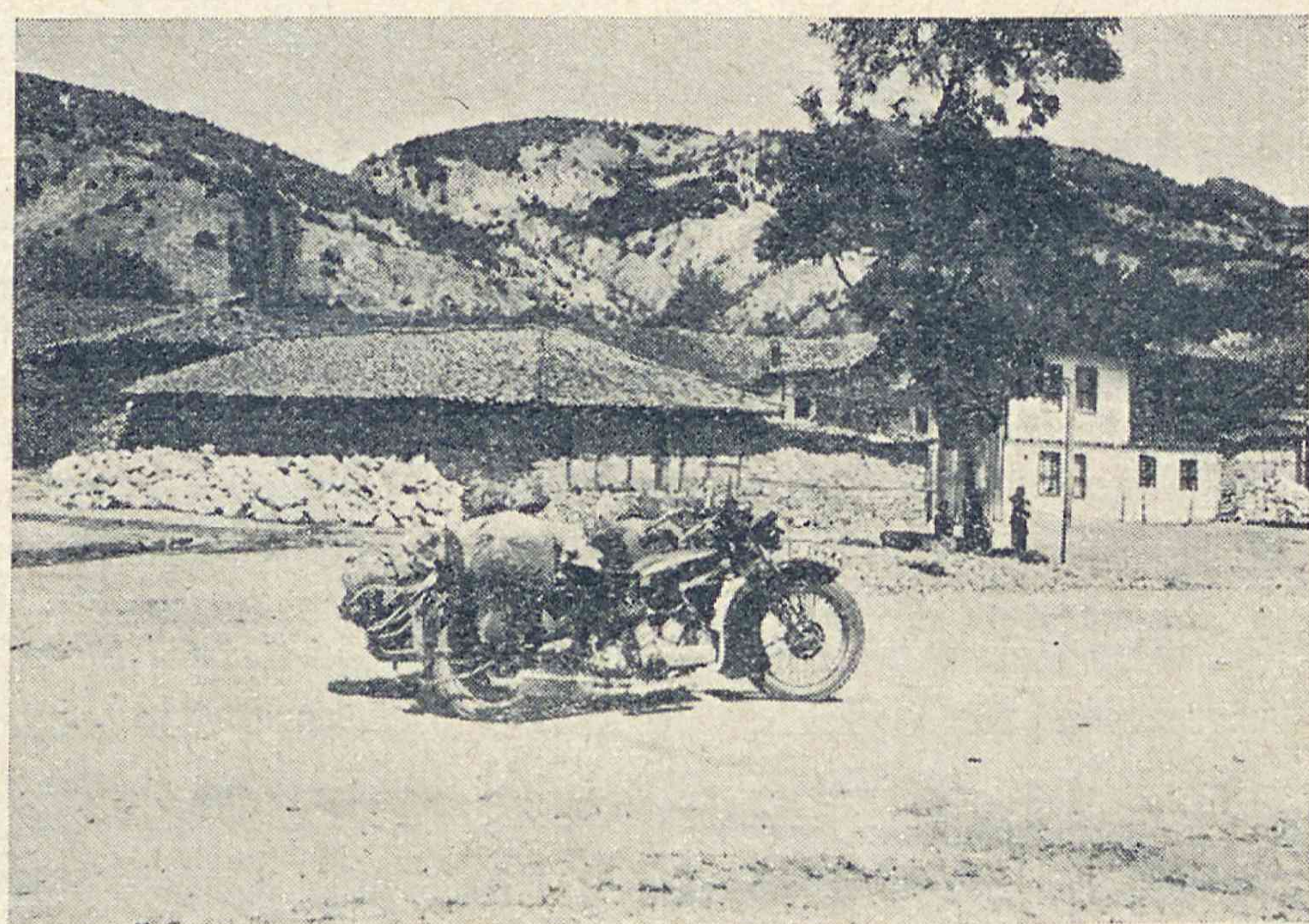
Z WARSZAWY DO SZANGHAJU

IV

DROGA NA KSIĘŻYC



Widok ogólny Sofji



Typowa wieś bułgarska

Jeździmy szukać egzotyzmu do Azji, Afryki, pięknych partji górskich w Alpy, ale nikt nie wpadnie na pomysł skierowania wozu na Bałkany. Już w Jugosławji wjeżdża się w krainę złotej bajki. Ruda jak z miedzi szosa i poszarpane ognisto - rude góry, pokryte nie lasem, ale zagajnikiem dębowym. Corniche d'or na wybrzeżu śródziemnomorskiem są blade w porównaniu z temi fantazyjnie poformowanemi w stożki, wyrwy, przepaście, piramidy urwistemi zboczami.

Wązka kamienista droga wije się z bezprzykładną fantazją. Wspina się wprost w niebo, to znów spada karkołomnym zjazdem lub wirażem, przeskakując stary mostek. Na zboczach i w ciemnych szmaragdową zielenią jarach pasą się stada owiec czarnych i rudych, jak skały. Pastuchy ubrane w skóry, kożuchy, pasy nabijane, a małe pasterki z kądzielą w ręku patrzą wylękłym wzrokiem na nieznany pojazd. Na drodze zaprząg w parę czarnych bawołów lub mały osiołek z jukami. Wspinamy się coraz wyżej; jak okiem sięgnąć, martwe skały pokryte szarym mchem. Góry z rudych zmieniają się w szaro-błękitne. Niesamowite wrażenie jazdy na księżyc.

Księżycowe góry, niebo — granatowa kopuła przetykana gwiazdami, a nad nami i pod nami szlak mlecznej drogi. Noc.

Przełęcz wśród gór — granica zamknięta.

* * *

Opalowy wschód słońca. Na szerokiej hali dwa posterunki: biały jugosłowiański i zielono - szary bułgarski. Trójbarwny szlaban otwarty. Do Sofji już blizko. Droga karkołomnemi zjazdami opada w dół. Na zakrętach wrażenie staczania się w przepaść. Coraz niżej i niżej, szosa coraz bardziej wybita, nareszcie zastępuje ją żółta kostka — oto Sofja, błyszcząca złotem kopuł cerkiewnych.

Miasto to zbudowane w sercu Bałkanów przez szczep tracki Serdów po upadku Tracji staje się punktem węzłowym szlaku do Bizancjum. Za Trajana nosi nazwę Ulpia Serdika. Za Dioklecjana jest stolicą Dacji. Tu w roku 344 zbiera się Sobór. W V wieku zniszczone przez Hunnów. W wieku IX przywędrował z nad Wołgi szczep uralski bułgarów, by osiąść tu na stałe. W XIV wieku zdobyte przez turków, jęczy do XIX wieku pod jarzmem Islamu, z pod którego zostaje uwolnione przez generała rosyjskiego Górko za panowania Aleksandra II. To też na głównym placu widnieje konny pomnik cara Aleksandra Oswobodziciela.

Naogół mało rzeczy ciekawych i ładnych. Cerkiew Św. Zofji z IV-go wieku, dwa razy zmieniana na meczet, w XIV wieku daje nazwę miastu. Stary meczet Büjuk Dschami. Brzydki pałac królewski w renesansowym stylu, parę cerkwi współczesnych i to wszystko.

Pierwsze wrażenie małego prowincjonalnego miasta rosyjskiego. Jakoś brudno i żółto. Ludzie ubrani brunatno. Opalone brzydkie twarze. Wszystkie mundury, wojsko, policja, jak w przedwojennej Rosji. Kilka ulic większych: naogół wrażenie ponure i brudne i ubogie. W śródmieściu boczne ulice jeszcze nie brukowane. Kawiarni niema w europejskiem znaczeniu tego słowa. Już wschodnim zwyczajem oszukują cudzoziemca w cenach, gdzie się da. Na ulicy nie widać ładnych, eleganckich kobiet; podobno takie wogóle tu nie istnieją. Po trzydniowym pobycie ma się tego miasta zupełnie dość. Nawet się nie odczuwa chagrin de depart. Bo zresztą Bułgarja kolorowa i egzotyczna jest na drodze, w polu, w górach i w małych miasteczkach.

Z Sofji droga znów pnie się w góry, w krainę romantycznej starej Bułgarji, gdzie każda wioseczka ma swoją wielką historję z okresu walki o niepodległość. Gdzie chłopi noszą ludowe stroje tak, jak przed wiekmai, brunatne samodziały, hafty, łapcie, owijacze, serdaki baranie, cyfrowane, tureckie pasy czerwone i nóż za pasem, kobiety w pięknych czerwonych fartuchach z czarnym haftem z kwiatami we włosach lub przy chustce, z nieodłączną białą lub czarną kądzielą w ręku. Naród dobry, spokojny i poważny. Chaty białe, przed każdą pergola z winogradu. Na środku wsi w wyciętej framudze widnieje duży piec chlebowy— to piekarnia wioskowa.

W Klisurze, jednem z najpiękniejszych miasteczek, goszczą nas chłopi z nauczycielem wioskowym na czele. Z dumą pokazują muzeum bohaterów powstania. Kupkę kości, kilka fotografji i trochę broni. Obdarzeni winogronami, ugoszczeni jedziemy dalej. Przez Sopot, słynne ze starego klasztoru, Karlowo, gdzie całe ulice rzemieślników pracują nad wykonaniem malowanego bułgarskiego wózka.

Wszędzie przy wsiach plantacje róż i słoneczników, w górach ruda pustynia, pokryta nieprawdopodobnemi odmianami

ostów. Tak krainą bajki, chatek białych, róż, ostów i owiec dojeżdża się do Plovdiv (Philipopol), miasta zbudowanego w roku 342 a. ch. przez Filipa Macedońskiego. Ongiś w rękach trackich było twierdzą warowną nad Maricą, przez rzymian nazwane Trymontium, bo na trzech wzgórzach się rozsiadło. Dzisiaj centrum fabrykacji papierosów, miasto uprzemysłowione i pozbawione wszelkich zabytków historycznych.

Od Plovdiv droga spada w dół ku stepom Marmara. Koloryt pól i drogi nabierają charakteru wschodniego. Stroje tureckie, ale te z przed reformy Kemal Paszy. Fezy czerwone, turbany, chusty barwne na głowie, czerwone pasy, szerokie spodnie. Kobiety w spodniach i czarczafach. Zaprzęgi w czarne bawoły lub konie w barwnej uprzęży z janczarami; osiołków objuczonych całe stada plączą się na drodze. Wsie brunatne, lepione z gliny, strzechy słomiane; zdaje się, że to wieś murzyńska.

Wśród winnic, pól uprawnych i plantacji róż w blaskach zachodu błękitnieje wstęga Maricy. Rozbijamy namiot przy winnicy, życzliwie zaproszeni przez strażnika. Noc gwiazdzista. Chłopi zasiedli kręgiem na trawie, patrzą, mówią mało. Przynoszą naręcza winogron, pieniędzy nie przyjmują za gościnę.

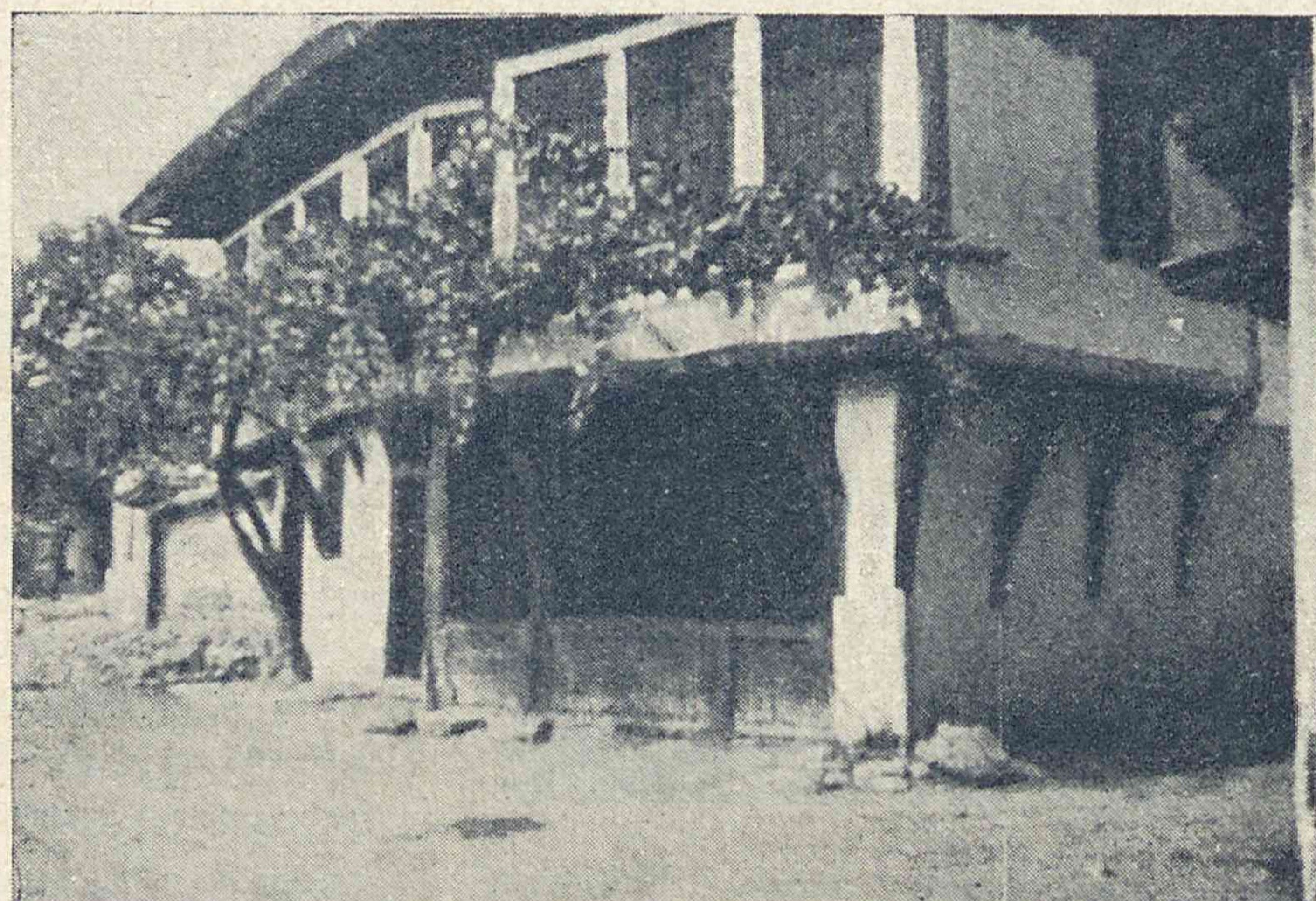
O świcie kąpiel w Maricy — pożegnanie bułgarskiej ziemi, która nas niebywale gościnnie przyjęła i żegna serdecznie — w drogę ku granicy, cały dzień w polu, w barwach i słońcu.

Stambuł, dn. 19 września 1934 r.

Halina Korolec-Bujakowska.



Typ chaty bułgarskiej



Piekarnia w miasteczku Kirska

ODCHODZĄ ZASŁUŻENI

Ś. P. MARJAN ŚWIECHOWSKI

Dn. 26 października 1934 r. zmarł w Kownie na skutek wypadku Marjan Świechowski (ur. 1882). Nie było od 25 lat żadnej ważniejszej sprawy w Polsce, w którejby chodziło o porozumienie z Litwą i Ukraińcami, z której miało wyjść związanie Litwy i Rusi z Rzplitą, w którejby nie było Marjana Świechowskiego. Jego pracy, Jego myśli, całej Jego osoby.

Przesiąknięty do głębi wysokiem poczuciem sprawiedliwości, wróg nieprawości, krzywdy społecznej i indywidualnej miał w sobie wielkie, jedyne ukochanie Polski i to nieprzeparte przeświadczenie, że moralna siła polskości Polski takiej, jak on ją rozumiał, jak ją kochał, jak dla niej — mimo choroby — walczył nawet orężnie, że ta siła jest najpotężniejszym, jedynym czynnikiem zespalania wszystkich narodów dawnej Rzeczypospolitej pod jej sztandarem.

Jeżeli dawny wileński mickiewiczowski filaretyzm był nietylko legendą, był także niegdyś rzeczywistością, żywem w czasach dzisiejszych wcieleniem tej rzeczywistości był Marjan Świechowski. Dobry, łagodny, subtelny, człowiek czysty, wyrozumiały, dla innych sprawiedliwy, a dla siebie surowy, w przyjaźni wierny i oddany posiadał najrzadszą wśród ludzi cnotę — odwagę cywilną. Naprzekór wszystkiemu, a w zgodzie z własnem sumieniem, szedł z odsłoniętą przyłbicą po drodze przez siebie obranej, drodze prostej i uczciwej, jak cała jego natura.

Śmierci, która nań czyhała oddawna, opierał się mężnie i walczył o swe idee do końca, by lec w ziemi praojców, do której wybrał się w swą ostatnią podróż na tym świecie.

ŚWIAT KSIĄŻKI

V. Giełgud i Holt Marvell „Śmierć w radjostacji". Wolny przekład Wiki. Tow. Wyd. „Rój". Spółka angielskich autorów, pragnąc odświeżyć nieco szablon powieści kryminalnych, po raz pierwszy, w tym typie literatury przeniosła akcję do wielkiej radjostacji. Już sama tajemniczość radja jest doskonałym współczynnikiem sensacyjnej konstrukcji i z połączenia tych dwóch elementów powstała świetna fabuła, fascynująca zagadkowością, pełna powikłań i dająca nieoczekiwane zupełnie rozwiązanie, przypominające najlepsze powieści Leroux'a czy Green'a.

Niestety w polskiej transkrypcji „Śmierć w radjostacji" straciła wszystkie walory. Nie przetłomaczono jej bowiem, lecz widocznie dla celów reklamy przeniesiono akcję do Warszawy i Polskiego Radja. Wyszedł z tego naiwny koszmar. Już sama wyrafinowana zbrodnia na bruku warszawskim, mogącym się „poszczycić" jedynie ordynarnemi i na szczęście rzadkiemi napadami bandyckiemi, robi groteskowe wrażenie. Wyrządzono też niedźwiedzią przysługę naszemu radju. Jego powieściowi bohaterzy to kabotyni, wykolejeńcy i szantażyści, z którymi pomieszano, pod niezmienionemi prawie nazwiskami, istotnych i cieszących się ogólną sympatją współpracowników, pp. Bocheńskiego, Strzetelskiego, dr. Stępowskiego i innych. Koloryt samej Warszawy godny parogroszowego brukowca.

Tak samo cały rozdział rozgrywający się w mieszkaniu inspektora. W tym wypadku „fantazja" literacka niefortunnego transponenta przeszła logikę możliwości.

J. S. W.

Z. GRABOWSKI

TEATR W KRAKOWIE

(Korespondencja własna „Świata")



Scena z aktu III-go sztuki „Robinzon Kruzoe", Billiżanki i Tommy'ego

Sezon zaczął się nieoficjalnie gościnnemi występami Marjusza Maszyńskiego, który potrafił rozruszać dość senną publikę krakowską dwiema sztukami: „Zwyciężyłem kryzys" Vulpiusa i „Domkiem z kart" Granichstaetena. Maszyński zwyciężył nietylko kryzys na scenie ale i na widowni: sala teatru im. Słowackiego, na której bywa często zbyt dużo — powietrza, zapełniała się notorycznie widzami. Stawianie na Maszyńskiego okazało się wcale nie domkiem z kart, ale solidną, żelbetonową budowlą.

Wizyta przemiłego gościa z Warszawy dowodzi najlepiej, że Kraków łaknie dobrej gry aktorskiej, której — bądźmy szczerzy — w ostatnich czasach nie użył nadmiernie. Nieodświeżany garnitur krakowski zdołał się opatrzeć widzom, temwięcej, że porwano z niego najtęższe siły: do Warszawy uciekli W. Pawłowski, K. Fabisiak, do Lwowa: Eichlerówna (dziś w Warszawie), Leliwa i inni. Dopiero w tym sezonie zdecydowano się zasilić szczupły zespół teatru im. J. Słowackiego nowemi siłami.

Maszyński był — jak to zaznaczyliśmy powyżej — nieoficjalnym inicjatorem sezonu i walnym łamaczem lodów obojętności krakowskiej publiki. Po jego wyjeździe ruszyła właściwa maszyna repertuaru. Pokazano nam „Lillę Wenedę" w oprawie Frycza na poziomie aktorskim wcale poprawnym, przyczem Osterwa zabłysnął w roli Ślaza znakomitą kreacją charakterystyczną. Odbijała może ona nieco swoim pysznym realizmem od niezdecydowanego charakteru i stylu gry jego współtowarzyszy, — co było już winą reżyserji — ale sama przez się dawała głęboką satysfakcję i rzetelną uciechę artystyczną. Całość przedstawienia podciągnięta była w granicach możliwości aktorskich Krakowa wysoko, przyczem młoda Krystyna Ankwicz - Szyjkowska w odpowiedzialnej roli Lilli Wenedy wykazała raz jeszcze dużo scenicznego nerwu i wyczucia.

„Lilla Weneda" była wzlotem kosztownym dekoracyjnie i ekspansywnym aktorsko. Nowatorzy zarzucali jej nawet, że poszła zanadto w kierunku przewagi elementu operowego — istotnie nie uderzała ona nowością i rewolucjonizmem jakiegoś Schillera, ale raczej trzymała się linji tradycyjnej. Niemniej jednak uznać w niej trzeba wysoce dodatnią pozycję krakowskiej sceny.

Po tym wysiłku odpoczęto sobie w komedji Rity Rey, oddawna już zapowiadanej przez dyrekcję krakowską. Komedja nosi intrygujący tytuł: „Rycerz kameljowy". Rita Rey, cięta feljetonistka, przebywająca stale w Paryżu, postanowiła dać w swej sztuce smętny ale prawdziwy wizerunek człowieka niepoczciwego: „gigola", mężczyzny handlującego sobą z niejakiem powodzeniem. Sam problem ciekawy i aktualny wypadł w sztuce Rity Rey przedziwnie niesympatycznie, chwilami nudnie i zdecydowanie niescenicznie.

W czem tkwi przyczyna niepowodzenia sztuki Rity Rey? Przecież w Paryżu uznano „Rycerza kameljowego" w gabinetach dyrektorów teatrów za dobrą sztukę, a pono sam znakomity Paul Cazin bierze się do jej przekładania na francuski. Przypomnijmy sobie jednak, że swojego czasu „Niewinna grzesznica" W. Grubińskiego, która u nas uważana była za miłą i subtelną sztukę, spotkała się pono w Paryżu z zastrzeżeniami natury moralnej, przypomnijmy sobie, że sztuka bodajże Natansohna, grana ongiś w Paryżu i uznana tam za pełną wdzięku i niewinnego czaru, u nas wypadła niesmacznie. Są to tajemnice klimatu — tak jak nie można konsumować pewnych gatunków win poza miejscem ich wytworzenia.

Przypuszczać należy, że w tem właśnie tkwi część przyczyn załamania się sztuki Rity Rey. Pozatem jednak — ale już „post festum" — wyszło na jaw, że autorce pokreślono jej utwór zgoła niemiłosiernie i że uniemożliwiono jej przywrócenie wyrwanych partyj przed premjerą. W rezultacie autorka wystąpiła z pretensjami pod adresem dyrekcji, twierdząc, że za tak wyprutą sztukę, przezwaną samowolnie komedją (!), nie może brać odpowiedzialności. Sztuce to nie pomogło, gdyż zeszła tymczasem z afisza, przyjęta przez publiczność wręcz lodowato. Autorka wyszła na premjerze po pierwszym akcie sztuki na dowód, że nie chce patrzeć na nieswoją rzecz...

Jednem słowem, Kraków miał małą sensację teatralną. „Rycerz kameljowy", nowoczesna replika płaczliwej i sentymentalnej „Damy kameljowej", nie okazał się rycerzem bez zmazy. Zmazą tą stały się skreślenia cenzorskiego ołówka, które—jak twierdzi autorka—pozbawiły jej komedję wszelkiego wdzięku, point i bon motów. A może wystawienie tej sztuki w Krakowie było wogóle taktycznym błędem ze strony autorki? Może ten problem nie jest dla Krakowa tak pasjonujący i tak aktualny, jak dla Paryża czy innej prawdziwej stolicy? Może wogóle w tem mieście nauki i sztuki wypadki kupowania mężczyzn są zbyt rzadkie i nikłe — nietylko z racji powagi grodu ale i dla małej ilości pieniędzy znajdujących się w rączkach skromnych Krakowianek?

Po pra-premjerze—cóż za urocze słowo! — polskiej sztuki o podkładzie paryskim ujrzeliśmy inną polską sztukę, która w przeciwieństwie do swojej paryskiej poprzewniczki „chwyciła" odrazu. Była to nieuczciwa konkurencja kolegów z jednego pisma: autorka „Rycerza kameljowego", pani Rita Rey, jak i autor drugiej premjery „Robinson Crusoe" — Tommy są współpracownikami tego samego pisma „IKC".

Tommy, sympatyczny feljetonista „IKC", którego łagodny humor i przemiły pogląd na świat zna armja czytelników „IKC", dobrał sobie do pomocy p. Billiżankę i stworzył z nią doskonałą zabawę sceniczną. Sztuka szturmem zdobyła młodzież. „Robinson Crusoe" Tommy'ego jest swobodną fantazją na temat słynnej powieści, która zapalała i zapala umysły wszystkich chyba chłopców na kuli ziemskiej. Fantazja jest nowoczesna, z użyciem że tak powiemy nowoczesnych środków, podana w formie zgrabnej, posiłkującej się chwilami efektami kabaretu i konferansjerki. Wykorzystano metody dzisiejszego teatru, zrobiono melanż z aktorów dojrzałych i zupełnie smarkatych i w sumie wystawiono sztukę pierwszorzędnie.

Młoda publiczność uznała całość za świetną, a autor momentalnie umiał nawiązać kontakt z widownią. Jak mówiono potem słusznie w kołach recenzentów, to przedstawienie dla młodzieży było bardziej nowoczesne, aniżeli wszelkie przedstawienia, jakiemi raczono na scenie krakowskiej ludzi zupełnie dorosłych.

Przedstawienie to, które napewno przyjmie się szybko i w innych ośrodkach teatralnych Polski, a kto wie czy nie zawędruje zagranicę, zaktualizowało raz jeszcze wielokrotnie poruszany projekt teatru dla młodzieży szkolnej w Krakowie. Czy nie dałoby się urządzić stałego teatru dla tej najlepszej z publiczności, której w Krakowie nie brak? Przypuszczamy, że sztuka Tommy'ego przez swoje realne dokonanie posunie tym razem zagadnienie na dobre tory.

„Rycerz Kameljowy" Rity Rey



Z. Gryf-Olszewska i W. Wojtecki

Równocześnie słychać, że realizuje się inny projekt—stałej scenki eksperymentalnej. Po próbach dokonywanych w „Cricocie", twórze ruchliwego Domu Artystów, puszczono w ruch „Mikroscenkę", nad którą czuwa dr. Władysław Dobrowolski. Zamierza on wystawić interesujące trzy jednoaktówki Wiesława Goreckiego. Przypuszczać należy, że Dobrowolski, który niedawno wrócił z podróży artystycznej do Rosji, wniesie szereg nowych elementów do swoich inscenizacyj. „Mikroscenka" powinna odegrać pożyteczną rolę w życiu Krakowa.

Dochodzą też słuchy — czy raczej słychy, jak o to stale wojował nieodżałowanej pamięci pisarz i człowiek ś. p. Tadeusz Żuk - Skarszewski — że ma przybyć do Krakowa na czas jakiś niespokojny duch: Leon Schiller i przerazić krakowian swojemi inscenizacjami. Mówią też o innych interesujących wizytach. Brawo! Czekamy niecierpliwie. Kraków potrzebuje gwałtownie przewiewu i oddechu na swojej scenie. Przyjmie wdzięcznie wszelką inowację, gościnny występ, nawet rewolucję. No i nie zrobi krzywdy nikomu. Ostatecznie — coś tam zna się na teatrze.

„PROPAGUJMY WYROBY KRAJOWE"

WYSIŁKI FRANCJI

(Korespondencja własna „Świata" z Paryża)

Polska nie znajduje się, na szczęście, w położeniu Francji, i nie jest zmuszona zachęcać obywateli do unikania produktów zagranicznych. Odpowiednia taktyka celna utrudnia dostęp do kraju produktom zagranicznym, bilans handlowy Polski jest dodatni. Inaczej sprawa przedstawia się we Francji, która zalana jest produktami zagranicznemi. Wobec tego wszczęła kampanję, zmierzającą do uświadomienia społecznego w danym zakresie.

Zastosowano przedewszystkiem propagandę filmową. W aktualnościach, dawanych w kinach całej Francji, poruszane są kolejno, co tydzień, bolączki każdej gałęzi przemysłu, dotkniętego kryzysem. Wniosek każdego z tych filmów: „Kupujcie produkty krajowe!"

Treść? Zasługuje ona na naszkicowanie dzięki swej różnorodności. Film, który mógłby nużyć jednostajnością, bawi swą żywotnością i niespodziewaną grą zdjęć.

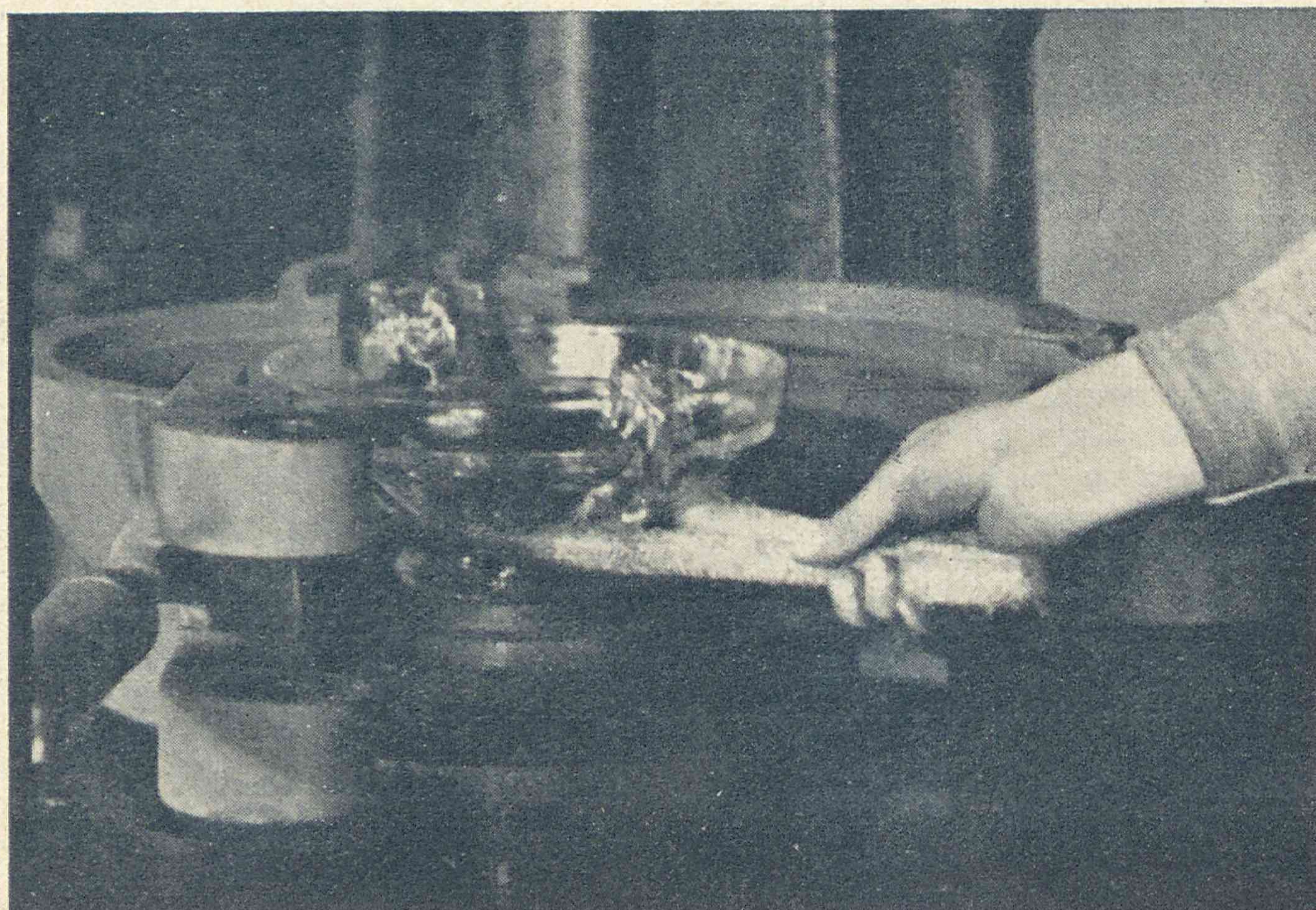
Jest więc krótki film p. t.: „Historja Francji", przebiegający szybkiemi rzutami różne momenty historyczne, by poprzez mobilizację 1914 roku, wielką wojnę, rozwój powojenny Francji i jej pierwszeństwo w zakresie nauki, przemysłu i t. p. — dojść do obecnego bezrobocia. Trochę statystyk. Wreszcie obrazki z zagranicy: „Buy british", „Kauft deutsch!" i t. d., i rynek francuski zarzucony produktami zagranicznemi. „Kupujcie produkty krajowe, a fabryki ruszą, kryzys skończy się, bezrobocie przejdzie!... Podatki zmaleją! Zbogacimy się!...." — oto motto.

Następny film (pokazano ich nam całą serję na przedstawieniu prasowem) opatrzony jest tytułem: „Genjusz francuski". Pługi, dźwigi, kolejki powietrzne, linje elektryczne, koleje i t. p. we Francji. Następna karta filmu—konstrukcje francuskie zagranicą: suszenie terenów w Jugosławji, budowy w Egipcie, kanał Sueski, roboty portowe w Gdyni (wyjątek z filmu „Cienie nad Europą"), koleje i mosty w Chinach, roboty w Ameryce Południowej. W kraju? Kryzys. „Kupujcie produkty krajowe! Wszystko skończy się dobrze!...."

Zwiedzamy obecnie poszczególne wytwórnie francuskie. Pokazują nam połów sardynek i pakowanie ich do pudełek.



Francja sprowadza obuwie z zagranicy...



...szkło z Ameryki...

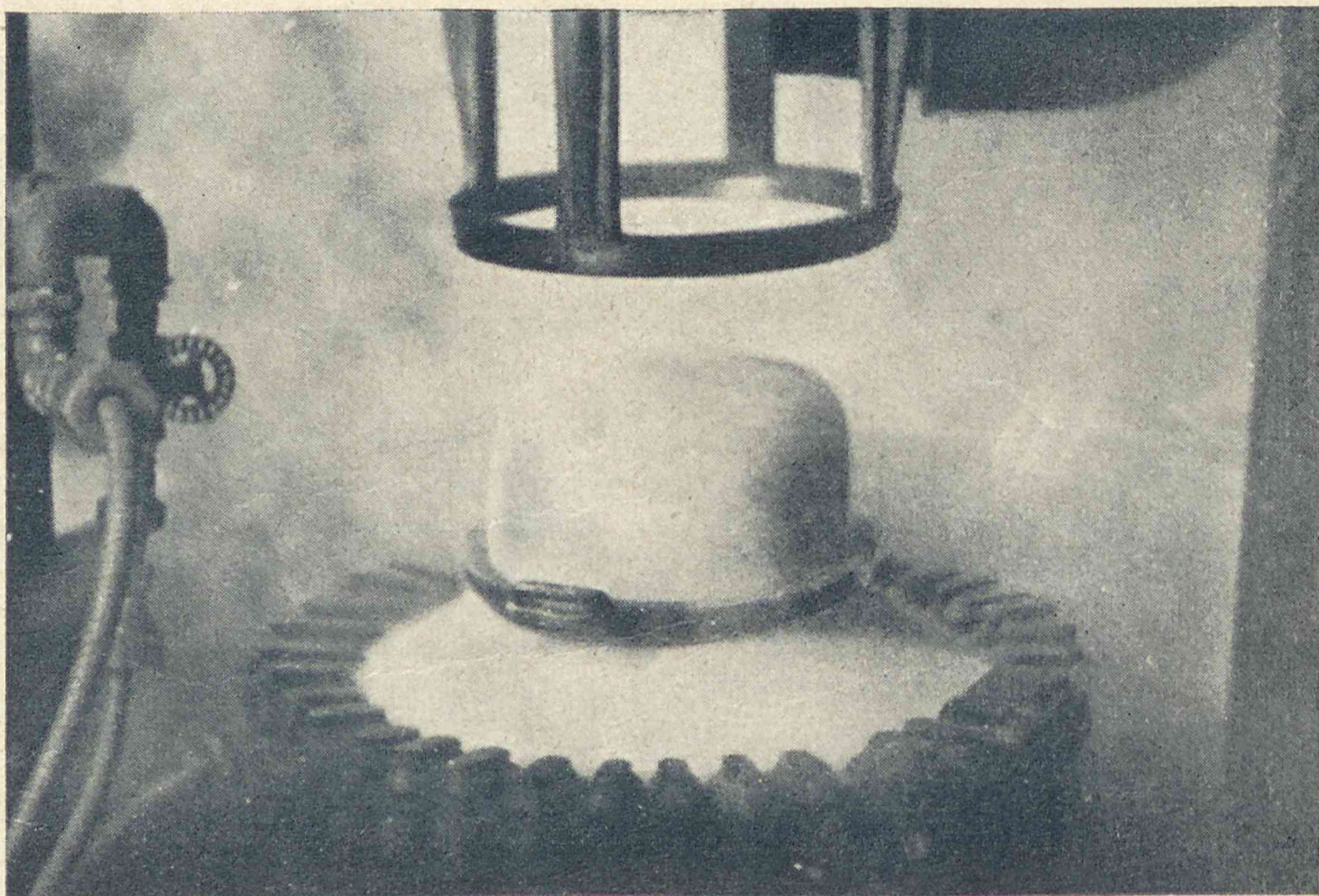
Obecnie? Kryzys. Francja woli sardynki portugalskie... Zato ma 15.000 bezrobotnych tylko w przemyśle konserwowym. Następny obrazek: jakaś pani wchodzi do sklepu i prosi o pudełko konserw owocowych. Dają jej importowane z Kanady. Odpowiada z zapałem:

— Ja chcę konserwy krajowe! Są równie dobre, jak zagraniczne! Kupujcie produkty krajowe!

Dalej rolnik żali się, że Francuzi nie kupują jego jarzyn, woląc zagraniczne, luksemburskie. Podobnież węgiel... (Zaznaczmy, że ani razu nie skarży się film ten na import z Polski...). Dalej wielkie piece, szklarnie, fabryki porcelany (w Ameryce stworzono specjalne miasto, które produkuje porcelanę konkurującą z francuską; *miasto to ochrzczono... Limoges, na wzór francuskiego centrum przemysłu porcelanowego!).* Japonja zalewa Francję zabawkami (jak i Niemcy), tkaninami (wraz z Anglją). Przemysł zegarkowy francuski unieruchomiony. Sprowadza się zegarki zagraniczne, obuwie gorsety, filce, suknie, płaszcze, bieliznę, gotowe ubrania (z Anglji), masło i nabiał, jajka z Chin(!), drób, owoce, zboże...

Oto nowa rola kina. Kino jako wychowawca narodu. Rola dotąd mało stosowana, zamało wykorzystana. Dodajmy, że pewne pismo współpracuje z tym pokazem filmów, urządzając konkurs między bywalcami kin całej Francji: każdy może brać udział, notując produkty, które uważa za najważniejsze w wytwórczości krajowej. Liczne nagrody przyciągają uwagę czytelników...

Paryż *Zygmunt Frenkiel.*



...filcowe kapelusze z Anglji...

STEFAN ŁOS

NIEŚMIERTELNY NIEBOSZCZYK

Tomy wypisywano już na temat fascynującej piękności stolicy Brazylji, rzeczywiście cudnego Rio de Janeiro, dużo pisano na najrozmaitsze tematy, związane z tym ciekawym i sympatycznym krajem, ale stosunkowo mało wiemy o życiu i zwyczajach ludu brazylijskiego. Pisząc to, nie mam oczywiście na myśli Indjan, ani kolonistów, którzy tworzą mniej lub więcej zwarte grupy narodowościowe, ani też mieszkańców miast, ale tych, o których pochodzenie trudno byłoby się spierać, nikt bowiem nie byłby w stanie dowieść, jaka krew w nich płynie. Myślę o kaboklach... t. j. o chłopach brazylijskich, jakbym to na polski język przetłomaczył. Kaboklo, im dalej od dobrodziejstw cywilizacji odsunięty, tem jest ciekawszy.

Natura to prosta jak u dziecka i jednocześnie jak u dziecka skomplikowana, nieopanowana i nieufna. Lekkomyślny — całoroczny zarobek gotów jest w ciągu dnia przepić w miłej kompanji, potem za resztkę pieniędzy kupuje jaskrawą chustkę na szyję, błyszczący pierścionek i znów cały rok bieduje w lesie.

Pojęcia religijne u kabokli są tak pokręcone, że niewiadomo, ile w tem jest chrześcijańskich reguł a ile pogaństwa.

Nieraz przy prymitywnych chatach krajowców widywałem zatknięte na wysokim kiju posążki lub nieudolnie wymalowane wizerunki świętych, których sobie kaboklo specjalnie upodobał.



...wali z rewolweru...

Kiedyś patrzę: wychodzi rano gospodarz z domku, w otoczeniu całej rodziny, staje pod żerdzią, na której tkwił jego święty i z namaszczeniem wali w powietrze z rewolweru, aż miło.

— Ano — jak mię zdziwionego wielce tem nieoczekiwanem widowiskiem objaśniano później — trzeba było świętego jakoś w jego imieniny uczcić.

Wogóle wszystkie chwile uroczystsze są w tym gorącym kraju obchodzone z hukiem. Bez „fogetów", t. j. rakiet i ogni sztucznych, nie obejdzie się żaden ślub i żaden odpust czyli „festa", a w dzień świętego Jana, „*Sao Joao*", miasta i miasteczka huczą wystrzałami całą dobę bez przerwy.

Nadmorscy mieszkańcy pasa tropikalnego, ciągnącego się wzdłuż pasma górskiego „ Sera do Mar", mają też swoje przesądy.

Kiedy długotrwała susza zaczyna zagrażać zasiewom, zbierają się mieszkańcy wybrzeża i w uroczystej procesji idą ku morzu, niosąc statuę św. Jana.

Zatopiwszy nieszczęsnego świętego w falach oceanu, wracają do domów i czekają cierpliwie na ożywczy deszcz.

Kiedyś zdarzyło się podobno, że zatopiono posąg świętego i jakoś wszyscy o tem zapomnieli.

Deszcz leje i leje, grozi już prawie potopem.

Niewiadomo, coby było, ale wreszcie ktoś zwrócił uwagę na świętego, który moknie w morzu. W ulewny deszcz poszła procesja z chorągwiami na brzeg morza. Statuę świętego wydobyto z wody, ale czy deszcz natychmiast przestał padać, tego kroniki nie podają.

Nadzwyczajna swoboda panująca w tym cudnym i tak niezwykle ciekawym kraju, a przytem kompletna tolerancja religijna sprawiają, iż oprócz dominującej religji katolickiej, pojmowanej zresztą w różnych zakątkach tego kraju wysoce swoiście i oryginalnie, panoszy się mnóstwo sekt... ba! toć każdy człowiek może, o ile mu się to spodoba, głosić nową swą religję i jeśli mu się uda, a znajdzie naiwnych, których zresztą nigdy nie brak, może na tem niezgorzej wyjść — nawet w doczesnem, świeckiem znaczeniu.

Oczywiście na tem tle szerzy się mnóstwo nadużyć, na które policja brazylijska patrzy przez palce, to też instytucja tak zwanych „proroków" rozwielmożniła się poważnie.

Wszelkiego rodzaju apostołowie i prorocy mnożą się w nieskończoność. W stanie Rio Grande do Sul w okolicach Guarany pojawił się ongiś młody, zaledwie



...idą ku morzu, niosąc statuę...

dwudziestoletni „prorok". Chodził sobie od wsi do wsi, od wendy do wendy*) głosząc swą naukę „jedyne zbawienie świata" i dodając skromnie przy każdej sposobności, iż on „prorok znakomity" jest obdarzony przez Boga niezwykłym przywilejem... nieśmiertelności.

I chwalił się, że ktokolwiekby poważył się podnieść na niego rękę i zabić go... dozna srogiego rozczarowania, gdyż zabity „prorok" po trzech dniach powstanie z grobu żyw i zdrów.

Sława jego rozeszła się po wszystkich kolonjach w promieniu wielu mil. Wszędzie znajdował wyrazy pobożnego podziwu, poparte niejednokrotnie brzęczącym dowodem uwielbienia, lub darami w naturze, tem bardziej, że zbierał datki „na potrzeby kościoła".

I dobrze mu się wiodło. Niestety, do czasu dzban wodę nosi...

Spotkało się kiedyś dwóch prawdziwych, szczerych synów stepu.

Zeszli się prawdopodobnie przy szimaronie"**), a ciągnąc gorzki napój omawiali aktualności okolicy.

Jakoś wspomnieli i naszego młodego „proroka" i poczęli obaj roztkliwiać się szczerze nad jego świętobliwością.

— Si, senhor — rozważał jeden z nich — to wielki święty: choć go zabić, po trzech dniach zmartwychwstanie.

— On pewnie tak tylko opowiada — twierdził większy sceptyk.

— Ale przecież by się bał tak tumanić ludzi, — bronił drugi z całem przekonaniem.

Od słowa do słowa, postanowili obaj przyjaciele rzecz całą sprawdzić osobiście i naocznie się przekonać, jak wygląda proces zmartwychwstawania.

Gdzieś na odludziu zdybali naszego „proroka" i tout court powiedzieli mu, o co chodzi.

———

*) Wenda - karczma.

**) odwar herwy matte, pity przez rurkę.



..zastrzelili „nieśmiertelnego"..

Przeraził się młodzieniec nie na żarty, kiedy zrozumiał, czego od niego żądają, wnet też zaczął uparcie dowodzić, że on tylko tak „żartował" i bardzo za to przeprasza, ale nie wzruszył tem kabokli.

— Nâo senhor***), ty tak umyślnie mówisz, żebyśmy nie nauczyli się sami, jak się to robi.

I... zastrzelili „nieśmiertelnego", mimo iż biedny chłopak wypierał się swojej świętości i nieśmiertelności do ostatniego tchnienia.

Ciało zabitego przywiązali gdzieś na uboczu do drzewa i przez trzy dni na zmianę pilnowali, żeby go jakie „bichos" czyli zwierzaki nie uszkodziły, zanim cud nastąpi.

W przepisanym terminie cud jakoś zawiódł. Kabokle poczekali jeszcze parę godzin, boć przecież nawet prorok mógł się trochę spóźnić, ale gdy ciało nieszczęśliwego cudotwórcy coraz wyraźniej dawało do zrozumienia, że dusza w nie wrócić już nie chce, zawinęli je w płótno i poszli zameldować władzy o całem zajściu.

„Senhor delegado da Policia", równie dziki i obdarty, jak nasi dwaj znajomi, wysłuchawszy skarg, iż „prorok" oszukał dwóch porządnych gauszów i nie chce zmartwychwstać, zawyrokował, że istotnie nieboszczyk źle zrobił wprowadzając w błąd bliźnich, skoro jednak teraz jest rzeczywiście nieboszczykiem, ukarać go za oszukaństwo będzie dość trudno.

Pochowano więc biedaka pod jakiemś drzewem, bez zbytnich ceremonji, boć nawet nie wiedziano, jak się ów zbawca świata nazywa i skąd pochodzi.

(ilustr. St. Zamecznik).

***) Nie, panie...

ŚWIAT FILMU

„IMPERATOROWA", reżyserja Józefa *Sternberga — Paramount.*

Film Sternberga nie jest filmem o Katarzynie Wielkiej. Nikomu zdaje się nie szło o to, żeby pokazać Katarzynę, ani Rosję 18-go wieku, ani wogóle nawet żeby zrobić dobry film. Szło o to przedewszystkiem, żeby Marlenę pokazać w nowej nietyle nawet atmosferze, ile w nowych dekoracjach i nowych kostjumach.

A filmy z Marleną już wszyscy dobrze znamy. Najpierw niewinna dziewczyna— potem nieszczęśliwa miłość — potem niepotrzebne małżeństwo — potem (nareszcie) upadek, rozpusta, szał, zapomnienie; wszystko owite w jakieś histeryczne i fałszywe rozgrzeszenia bólu i cierpień.

I to już jest właściwie wszystko jedno, że Marlena (bo nie Katarzyna!) bierze ślub w cerkwi z przypadkowym mężczyzną, a człowiek naprawdę kochany — książę Aleksy, nie wymieniony w programie, zresztą dość spokojnie i dobrze grający Amerykanin w długiej peruce — z sentymentalnym patosem jakiegoś niebywałego poświęcenia asystuje ceremonji zaślubin. W „Marokku" zamiast rosyjskiego księcia był legjonista z Legji Cudzoziemskiej. I to jest właściwie tylko pretekst, żeby przez dłuższy czas (stanowczo zadługi) wyświetlać zbliżenie twarzy Marleny. I znowu te same rozbiegane oczy, wpół otwarte usta, ciężki oddech cierpienia, chyboczący świecą i wreszcie te same co zawsze skromne, wydobyte poprzez jakąś wewnętrzną pasję i dlatego mające nas wzruszyć łzy.

Ale nas to nie wzrusza. Owszem brało nas to w „Marokku", gdzie przeżywaliśmy to pierwszy raz. Teraz już przywykliśmy. Trudno — nie wzrusza już nas, skądinąd genialna, ale standartowa gra Marleny Dietrich.

I znowu, już prawie obowiązkowo, przebiera się Marlena w męskie stroje. Tym razem, ani w czarny frak, ani w biały frak, lecz w mundur oficera gwardji.

Nie idzie nam koniecznie o prawdę historyczną i lokalną, bo jest i tak kopnięta. Chcielibyśmy, żeby film był dla nas przyczyną jakichkolwiek rzetelniejszych, prawdziwszych przeżyć.

I tych prawdziwych przeżyć nie dostarcza nam ani strona anegdotyczna, ani strona wizualna filmu. Pretensjonalnie koszmarne dekoracje sprawiają, że ekran jest stale zaśmiecony bez sensu. Z wyjątkiem zbliżeń Marleny, które są układane nadzwyczaj starannie i czasami pomysłowo.

„KRYZYS SKOŃCZONY" — co za świetny tytuł do komedji filmowej naszych czasów. Czasów oczekiwania końca kryzysu, który przez swoją długotrwałą codzienność stracił właściwe oblicze i którego imię z tych samych powodów już prawie nic nie znaczy.

Najnieprawdopodobniejsze fantazje bajek—jakieś arkadyjskie życie z najbardziej groteskowemi sytuacjami — to przecież kapitalny temat do satyry naszych dziecinnych marzeń o końcu kryzysu.

Film francuski reżyserji Roberta Siódmaka jest dość zabawną historją paczki aktorów rewjowych, którzy bez pieniędzy robią rewję pod tytułem „Kryzys skończony" — zbierając gwoździe, litery z szyldów na mieście i żarówki z prywatnych mieszkań.

Film jest z gatunku amerykańskich filmów rewjowych, całkowicie je przypomina i niestety prawie nie przewyższa.

O ile amerykański film góruje nad europejskim błyskotliwością montażu, bogactwem wystawy i trafnem wyczuciem tempa — to produkcja europejska bije go niemal zawsze lepszym, dowcipniejszym scenarjuszem i większą świeżością w operowaniu objektywem. Amerykanie nie mają na to czasu.

Tym razem jednak scenarjusz jest raczej słabszą stroną filmu. Przygody zabawnych artystów obracają się stale w jednym terenie: między rampą, orkiestrą i kulisami, co, przy monotonnem, dość szybkiem tempie i bez narastającej akcji wkońcu nuży. Także winą scenarjusza jest brak lepszych dowcipów. Wszystkie kawały są powierzchowne, trickowe bez logicznego podkładu — to raczej amerykańskie „gagi".

Natomiast reżyserja jest bardzo staranna i pomysłowa. Parę dobrych pomysłów pokazano pierwszorzędnie pod względem kinematograficznym. Np. scena z matką, która szuka teatru „Elisée-Clichy", o którym nikt nie wie, bo jest od pięciu lat nieczynny, i wreszcie wypytując tak wszystkich, sprowadza pół Paryża na premjerę. Bardzo przyjemnie jest pokazana piosenka o Paryżu, śpiewana w wagonie kolejowym. Dobrze pomyślany efekt końcowy. Rewja, jaka po dłuższych tarapatach wynika pod koniec filmu, jest bezpretensjonalna i śmieszna. Albert Prejean jest jednym z kulturalniejszych aktorów i piosenkarzy. Jego wszystkie powiedzonka i gierki są niezawodne. Partnerka jego — Danielle Darieux — wyjątkowo przystojna.

St. Z.

„Dubbing" w Polsce

„Dubbing" albo „Doublage" polega na dokładnem i umiejętnem podłożeniu języka krajowego na miejsce obcego. Technika przedstawia się w ten sposób: Na brzeg nagranej taśmy nakłada się analogiczną treść w języku krajowym, na miejsce uprzednio usuniętej taśmy, nagranej w języku obcym, ściśle zsynchronizowanej z wizualną częścią filmu. Fotografja przytem pozostaje bez zmian.

Pozostaje jeszcze sprawa jaknajdokładniejszego podstawienia głosu i artystyczna strona „Doublage". Czynimy za to w zupełności odpowiedzialnym reżysera „doublagu", od którego wymagamy precyzyjnego wykonania, bo od tego wogóle zależy „dublować czy nie dublować" i tylko taki „doublage" ma rację bytu. Dlatego wybór artystów dublujących musi być bardzo skrupulatny; nietylko pod względem głosu jako dźwięku ale i pod względem ekspresji tego głosu i charakteru talentu odpowiadać powinien oryginałowi. „Doublage" bowiem może przewyższać oryginał, ale nie może być mowy o „niedociągnięciu". Według opinji pierwszorzędnych krytyków np. „Kawalkada" dublowana na język francuski, a „Henryk VIII" na język niemiecki przewyższyła oryginał. Jeśli „doublage" wykonany jest precyzyjnie, nietylko nie popsuje filmu, ale napewno podniesie jego wartość artystyczną, wobec tego, że nierza djalogi mają większą wartość, niż fotografja, a właśnie film traci na wartości przez nieudolnie skracane djalogi w napisach.

Filmy dźwiękowe nagrywane są w niewielu wersjach i zadawalniają tę publiczność tylko, w której języku film jest nagrany. Dla reszty są niezrozumiałym bełkotem, przeważnie w spaczonej amerykańskiej angielszczyźnie. Śledzenie akcji, oglądanie fotografji i gry artystów przy jednoczesnem odczytywaniu napisów, i to w tempie szybko obracającej się szpuli projekcyjnej, jest zbyt męczące dla łaknącego rozrywki widza. Niezadowoleniu z takiego stanu rzeczy, w swoim czasie, publiczność europejska dała wyraz przez gwałtowny spadek frekwencji. Odbiorcy europejscy zaprotestowali energicznie. Wtedy producenci amerykańscy, wraz z całym sztabem techników, stworzyli po wielu nieudanych próbach „dubbing". Dublowanie przyjęło się bardzo na zachodzie. We Włoszech i w Hiszpanji władze zakazały wyświetlania filmów w obcych językach, niedublowanych — we Francji otaczają tę produkcję specjalną opieką.

Wprowadzenie „Doublagu" u nas miałoby poza artystycznem — duże znaczenie propagandowe ,ideowe i ekonomiczno - gospodarcze, zatrudniając przy tej pracy bezrobotną brać artystyczną, także siły pomocnicze, techników i personel biurowy, literatów, autorów i reżyserów akustycznych. Wprowadzenie „doublagu" do Polski, znów wbrew twierdzeniu przeciwników jego, nie wejdzie w drogę produkcji krajowej. Produkcja krajowa przy najlepszym swoim rozwoju nie nasyci rynku filmowego sama. Filmy w dalszym ciągu będą sprowadzane, tak jak wszędzie, z zagranicy, a czy będą dublowane czy nie to jest obojętne dla polskiej produkcji.

Wanda Kalinowska.

Wizyta P. ministra oświaty Wacława Jędrzejewicza w nowem Studjo Filmowem „Polska Akustyka"



Siedzą od lewej 1-szy rząd: naczelnik T. Święcicki, minister Ośw. W. Jędrzejewicz, p. min. Jędrzejewiczowa, minister K. Siedlecki, radca Kraszewski. 2-gi rząd: naczelnik A. Wdziękoński, dyr. Jerzy Nowak, dyr. J. Relidzyński, dyr. J. Brieule, dyr. J. Rakowski. 3-ci rząd: redaktor A. Ruszkowski, dyr. Wł. Glocer. Stoją: reżyser R. Gantkowski, inż. dyr. L. Grossinger.

W dniu 15 b. m. p. minister oświaty, Wacław Jędrzejewicz z małżonką, p. wiceminister K. Siedlecki, p. Tadeusz Swięcicki, szef wydz. prasowego Rady Ministrów, w towarzystwie przedstawicieli innych ministerstw zwiedzili nowe studio filmowe: „Polska Akustyka", przystosowane specjalnie do dublowania filmów.

Goście, oprowadzani przez dyr. inż. Grossingera i reżysera „Polskiej Akustyki" p. Romualda Gantkowskiego, oglądali najnowsze instalacje dźwiękowe systemu „British - Acustic".

Pan Minister Jędrzejewicz okazał duże zainteresowanie i kazał sobie objaśniać szczegóły tej ciekawej techniki.

ŚWIAT FILMU

„TAJEMNICA MAŁEJ SHIRLEY" — w kinie „Casino". (Fox - film).

Rozreklamowany do najwyższego stopnia film ten miał być rewelacją nowego genjusza filmowego — maleńkiej czteroletniej Shirley Temple, o której rozpuszczano wieści, że zakasowała nietylko Marlenę i Gretę, ale usunęła w cień wspomnienie dwu czarujących brzdąców ekranu: Coogana i Coopera. Jak zwykle, reklama okazała się grubo przesadzona. Shirley jest wprawdzie bardzo miłem dziewczątkiem, ładnie się rusza, ma tupetu aż nadto, śpiewa milutko i uśmiecha się z wdziękiem — ale nie jest wcale artystką tej miary, co jej mali poprzednicy. Tamci obaj zdolni byli w stopniu niezwykłym do wzruszenia: nie mazgajstwa, bo to nie to samo. I tem swojem wzruszeniem, swem cierpieniem małych kilkoletnich mężczyzn. wywoływali wzruszenie publiczności. Shirley nas bawi, dość nam się podoba — bardzo rzadko ukazywana jest w zbliżeniach, tak że gry twarzy naprawdę nie można dokładnie ocenić — Shirley bardzo dobrze tańczy, Shirley jest milutka — ale też nic więcej.

Film — jak zwykle amerykańska bzdura. Ale choć ma sceny przeciągnięte i chwilami nadużywa efektu, powtarzając go zbyt długo — jednak w sumie jest przez swój komizm wcale niezły. Mimo swej bezgranicznej naiwności (np. piramidalna głupota detektywa granicząca z idjotyzmem), mimo zdjęć niezawsze czystych, mimo braku wszelkich „zagadnień" technicznych i chwytów reżyserskich. Zaletą tego filmu jest brak cynizmu, dobre tendencje i wcale niezła gra aktorów.

Nad program świetna groteska rysunkowa „Bajka chińska" produkcji Foxa— rozkoszna zabawa, którą nawet niewiadomo komu zawdzięczamy. Dlaczego autora nie wymieniono na ekranie — niewiadomo.

B. P.

POLSKA

Wiosenne pokazy polskich modeli cieszyły się w kwietniu rekordowem powodzeniem. Sceptycy jednak twierdzili: „To dobre na lato, do płóciennych sukienek. W bogatszych tkaninach polska moda jeszcze się nie umie wypowiedzieć".

Przyszła jesień — i zadała kłam tym przewidywaniom. Najwytrwalsza pionierka polskiej mody, p. Elektorowiczowa, znowu zorganizowała pokaz modeli wykonanych według projektów polskich artystek. A czy okazały się one na wysokości zadania — niech osądzą nasze czytelniczki, patrząc na zdjęcia, które zdobią ten artykuł.

Pokaz był rozmyślnie „mieszany" — to znaczy złożony z modeli polskich i najwyższej klasy *„haute couture"* francuskiej. I podkreślić trzeba z dumą, że większość modeli polskich zwycięsko wytrzymała to porównanie.

Wśród kilkunastu projektów polskich modeli, wykonanych przez „Maison Paniola" według projektów Krugmanówny, Dobrzyńskiej i samej pani Elektorowiczowej, zwróciły specjalną uwagę i zyskały największe powodzenie trzy piękne toalety, które dziś reprodukujemy.

„Trzy?" — zdziwi się niejedna czytelniczka... „Przecież są cztery, nie trzy"....

Na oko tak. Ale w gruncie rzeczy inaczej. Szczegóły tej tajemnicy polegają na tem, że dostojny w linji, bardzo nobliwy model aksamitny „Greta" na „mały wieczór" (ilustr. 2) — długi do ziemi, jak każe moda — przeistacza się na żądanie w mgnieniu oka w miły kostjum popołudniowy (ilustr. 4), z żakiecikiem z baskiną i małą pelerynką. Istna sensacja. Zastosowanie tak prostego „hokus pokus" i osiągnięcie dwuch toalet z jednej — to niemała zaleta sukni w obecnych trudnych czasach.

Bardzo piękna „Księżniczka" Jakimowiczówny — (il. 2) — to suknia wieczorowa z czarnej tafty, sztywno odstająca w dole, i podkreślona pionowo świetną linją zielonego aksamitu, który obrzeża głębokie wycięcie na plecach, tworzy w pasie estetyczną kokardę i opada ku dołowi dwoma aksamitnymi końcami. Suknia bardzo „malarska" a jednocześnie bardzo łatwa do noszenia. A wiadomo, jak trudno bywa o połączenie tych dwu zalet.

Model Krugmanówny, który na rewji nazywał się skromnie „Prosi onazwę" — uzyskał ją z ust publiczności. Nazywa się „Violette de Parme" (ilustr. 3). Bardzo wy-



1. Model „Księżniczka"
Proj. Jakimowiczówny

2. Model „Greta"
Proj. i wykonanie „Maison Paniola"





MODA

tomne", *„Derviche"*, *„Lys noir"*, *„Etrange femme"*, *„Tentation"*, *„Belle nuit"*.

Czyż można się oprzeć takim pokusom?

Moda tegoroczna jest tak urozmaicona, posiada tyle odmian, i tak liberalnie uwzględnia możliwości każdego typu urody kobiecej, że właściwie każda z nas może być w tym sezonie ubrana zgodnie ze swoim stylem.

Oczarowane i podniecone, z wypiekami na twarzy, wychodziły panie z Simu, dzieląc się wrażeniami. W domu każda usiłowała, rzecz prosta, temi wrażeniami podzielić się z mężem... I tu się zaczynają ciche dramaty domowe, o których kronika milczy dyskretnie...

Lustucru.

3. *„Model „Violette de Parme"*
Proj. Krugmanówny

Wszystkie zdjęcia E. Koch Żórawia 13 tel. 8-12-36



4. *Model „Greta"*
po transformacji

studjowaną, grecką prostotę tej szaty — bo zwyczajnie „suknią" nazwać jej nie można — osiągnąć niełatwo. Nasza „mała krawcowa" nie skopjuje jej od ręki. Jest to bowiem ta pozorna tylko prostota, która kryje w sobie wielką umiejętność, duże doświadczenie i niemało inwencji twórczej. Słowem —to co się nazywa „kreacja".

A co nam pokazano „prosto z Paryża"?

Suknie wieczorowe bardzo długie, bardzo płynne, prawie wszystkie z trenem, mało wycięte z przodu, dość głęboko na plecach. Kostjumy popołudniowe zwykle czarne, strojne, np. śliczny „Cocktail" czarny z białą bluzką z pailletek. Przy zapiętym żakiecie można ten kostjum nosić prawie od południa. Przy otwartym— gdy błyska między klapami biel świecącej bluzki,—bardzo jest odpowiedni na wizyty. Bez żakietu, w samej bluzce, iść można na każde wieczorne zebranie, na brydża, na dancing, do teatru, na koncert. Zowu kombinacja pomysłowa i elegancka.

Niezmiernie paryska w ujęciu była suknia „Ritz" model Agnes-Drecoll, naturalnie czarna, z białym kwadratowym kołnierzem i wysokiemi mankietami z pailletek. (To przybranie jest w obecnym sezonie szalenie modne).

Widziałyśmy jeszcze świetny kostjum wełniany, taki ciepły, idealny kostjum na chłodne ale słoneczne dni zimowe. Kaftan rosyjski dc kolan, na wąskiej spódniczce z czarnej wełny. Podszewka płomienno - czerwona. Sweter czarny z czerwonemi rękawami. Nazywał się „Ivan", pochodził z firmy Marcel Rochas.

A pozatem?

Już same nazwy rozmarzają. *„Promenade"*, *„Charme d'au-*

ANEGDOTY TEATRALNE

Kiedy Niemcy okupowali Kongresówkę, wielu aktorów byłych teatrów rządowych w Warszawie emigrowało do Rosji. Stąd poza granicami Polski powstało kilka trup teatralnych polskich, które dawały przedstawienia ze znacznem powodzeniem po całej Rosji. Wincenty Rapacki (syn) był w pewnym okresie tej przymusowej emigracji dyrektorem teatru w Petersburgu.

Podczas szumnego karnawału w stolicy byłego imperjum Rosyjskiego Rapacki w towarzystwie pierwszego amanta owej trupy wstąpił przed wieczorem do fryzjera, aby się ogolić. Obaj panowie, czekając swej kolejki, przyglądali się pracy szeregu fryzjerów, którzy w gorączce i zdenerwowaniu czesali damy.

Siedząca przed lustrem, najbliżej umieszczonem od obserwujących poniższą scenę artystów, pani — robiła gorzkie wymówki fryzjerowi za to, iż drugi już raz zmienia na jej żądanie koafiurę, a klijentka znowu jest z niej niezadowolona. Fryzjer ostro zareplikował wymagającej klijentce, że jemu się rezultat jego pracy podoba i żeby mu nie zawracała głowy, gdyż cały ogonek pań czeka z niecierpliwością na zajęcie miejsca przed jego lustrem. W to wtrącił się nieoczekiwanie amant, który zdobył już sobie popularność Petersburga.

— Przepraszam, że się wtrącam, ale mojem zdaniem pani ma rację: to uczesanie nie jest do twarzy.

Na to fryzjer ze zgryźliwą ironją wyciągnął do nieproszonego krytyka ręce z żelazkiem do fryzowania i grzebieniem ze słowami:

— Służę mistrzowi, może pan to lepiej potrafi.

— I owszem — odparł artysta i zręcznie chwycił w dłonie ofiarowane mu na żarty instrumenty fachu fryzjerskiego.

Dama zpoczątku nie chciała słyszeć o tem, aby stać się medjum tego eksperymentu. Ale amant sceniczny tak natarczywie i z takim wdziękiem zaczął ją zapewniać, iż wszystko skończy się dobrze i że ona będzie zadowolona z jego kreacji fryzjerskiej — aż zdecydowała się powierzyć laikowi los wyglądu na dzisiejszym balu swej koafiury.

Ta scena zaciekawiła wszystkich pracowników i klijentki wziętego nadnewskiego zakładu fryzjerskiego.

Wśród śmiechu zgrupowano się wokół aktora i damy. Ku zdumieniu obserwatorów daleko zręczniej i prędzej, bo w kilka minut — aktor ułożył włosy wymagającej pani gustownie, z fantazją i według opinji audytorjum „wielce do twarzy".

Dama, niepomiernie zdziwiona, podziękowała aktorowi uściskiem dłoni, a audytorjum oklaskami.

Aktor w towarzystwie swego dyrektora oddalił się, rzuciwszy tryumfujące spojrzenie na skonfundowanego rywala.

Tajemnica tego zwycięstwa artysty teatralnego na polu sztuki fryzjerskiej znana była tylko jemu i jego dyrektorowi, a polegała na tem, że obecny amant sceniczny był cały szereg lat pierwszorzędnym damskim fryzjerem w Warszawie.

Kino Atlantic
„Rzymskie skandale"

Przezabawna historja przygód Eddie Cantora w... starożytnym Rzymie. Dostaje się tam w sposób jaknajprostszy: zdrzemnął się pod drzewem, a po chwili witają go rzymscy pretorjanie. I oto okazuje się, że w ciągu tych ostatnich 2 tysięcy lat mało co zmieniło się na świecie: dawniej obdzierał swych obywateli Cesar, dziś — pan burmistrz. Lecz szlachetny Eddie ujawni zbrodnicze zamiary jednego i drugiego, odniesie zwycięstwo w służbie prawdy i sprawiedliwości.

Na tej naiwniutkiej kanwie reżyser zainscenizował bajeczne widowisko, puszczając szeroko wodze fantazji. Widzimy więc w starożytnym Rzymie bajeczne sceny rewjowe (w apartamentach niewolnic Cesara), wyścig kwadryg (nie gorzej, a może nawet lepiej zrobiony, niż w pamiętnym Ben Hurze), słyszymy szereg melodyjnych piosenek.

S. K.

PORADY KOSMETYCZNE

Odpowiedzi od Redakcji:

P. Irenie B. z Łowicza. Z nastaniem zimnych dni, dzieci nie powinny przerywać wychodzenia na świeże powietrze i spacerów, mimo nie zbyt ustalonej pogody. Należy jednak twarz i ręce posmarować przed wyjściem z domu lekko przetłuszczonym Kremem Sportowym — Antiba, który zabezpiecza od opierzchnięcia i bolesności skóry pod wpływem wiatru i niepogody.

P. Zbigniewowi C-skiemu z Janowa Lub. Z chwilą gdy niema pan zaufania do fryzjera, może pan myć głowę w domu zapomocą proszku Schampoing Powder „Savona" — marki Antiba, który świetnie oczyszcza naskórek. Proszek „Savona" jest łatwy w użyciu i istnieje w dwóch odmianach: do włosów ciemnych i jasnych.

P. Ernie Z. z Grodziska. Niemiły smak surowej wody miejscowej, jaką używa pani do płókania zębów łatwo zmienić paru kroplami eliksiru „Dentosan". Do pielęgnacji jamy ustnej radzimy używać pasty „Dentosan". Spierzchnięte ręce wygładzi galaretka „Glicerijell" na wodorostach morskich.

Do numeru dzisiejszego dołączamy dla wszystkich naszych prenumeratorów jako bezpłatne premjum książkowe powieść **Aleksandra Goldenweisera „ZMIERZCH JASNEJ POLANY"**

KOSMETYKA PANI ZOJI

CERA W LISTOPADZIE

Szaro, wilgotno, zmienne wiatry — wszystko to nie wpływa dodatnio na cerę.

Skóra o tłustem podłożu, która potrzebuje dużo słońca i stałego wysuszania — ma się najgorzej.

Łojotok wzmaga się, pory jeszcze bardziej się rozszerzają — powstają wszystkie warunki do tworzenia się wyprysków.

Sucha i wrażliwa cera także szwankuje. Ostre wiatry drażnią naskórek, powodują czerwone plamy, pieczenie i swędzenie.

A do wiosny jeszcze tak daleko! Trudno czekać, aż przyjdzie z pomocą prawdziwe dobrotliwe słońce.

XX wiek ma jednak na wszystko namiastki.

Otóż słońce może nam obecnie zastąpić — Lampa kwarcowa. Listopad to jest miesiąc lampy kwarcowej.

Wszystkie dolegliwości spowodowane brakiem słońca — zastąpić musi — kwarcowa lampa.

Oczywiście stosować lampę należy bardzo oględnie — najlepiej pod dozorem lekarza.

Dawkowanie promieni pozafiołkowych lampy kwarcowej na twarz musi być stosowane ostrożnie, ponieważ łatwo jest spowodować poparzenie, oraz łuszczenie się naskórka, co wcale nas nie upiększy.

Umiejętne zaś korzystanie z lampy kwarcowej może usunąć wszystkie wyżej wymienione dolegliwości: osuszyć skórę, zlikwidować plamy i krosty, a także nadać cerze ładny brunatny kolor, przypominający do złudzenia zdrową opaloną słońcem skórę.

SALON ZOJA

Warszawa *Służewska 4.*

CI, KTÓRYM FORTUNA SPRZYJA





Jedna z głównych wygranych w ciągnieniu II-ej klasy 31-ej Loterji Państwowej, w kwocie 100.000 zł., padła w Katowicach na Nr. 133710. Szczęśliwymi posiadaczami ćwiartek tego losu są m. in.: wdowa po biednym kolejarzu, p. Solikowa i urzędnik województwa, p. Toifel. Na rycinie uwidoczniona jest chwila wypłaty przez kolekturę wygranych; p.p. Solikowa i Toifel otrzymali po 20.000 zł. każdy.

OPERACJE KOSMETYCZNE

Odpowiedź Pani S. A. w K.

Wypadek śmierci po operacji biustu jest niewątpliwie wydarzeniem ubolewania godnem. Trudno ustalić, co było przyczyną — przypuszczać jednak należy, że nie byłby się zdarzył, gdyby pacjentka, która poddawała się operacji, była zdrową i nie zaszły komplikacje.

Z doświadczenia tego wynika, że operacyj biustu, jak wogóle operacyj kosmetycznych, *nie należy bagatelizować.* Pewna część społeczeństwa, mianowicie ludzie starsi, uważają dotąd jeszcze zabiegi kosmetyczne za „niepoważne". Obecnie zapewne są innego zdania i odnoszą się do operacyj kosmetycznych z należytym szacunkiem.

Operacje kosmetyczne biustu są trudne pod względem technicznym i wymagają precyzji i doświadczenia. Lekarz, który nie specjalizował się w tej dziedzinie, jako samouk popełniać może błędy, z których wynikać muszą niebezpieczeństwa. — Nasuwa się analogja z rzemieślnikiem będącym artystą w swoim zawodzie, lecz wykonywującym inną pracę, nie wchodzącą w zakres jego rzemiosła, nieumiejętnie a nawet źle. — Chirurgja plastyczna jest rzemiosłem, nauką i sztuką równocześnie.

Zasadą jest, że operacje kosmetyczne nie powinny narażać ani zdrowia ani życia człowieka. Jeżeli pacjent jest zdrów, nie grożą żadne komplikacje, przynajmniej żadne z obliczalnych, więc te, które można przewidzieć. Z tej też przyczyny *nie należy niebezpieczeństw operacyj kosmetycznych wyolbrzymiać.* Uczyniła to prasa dla sensacji. Może w tem rozdmuchiwaniu jednego przykrego przypadku była tendencja tych czynników, którym zależało na tem, aby chirurgja kosmetyczna nie rozwijała się w Polsce, natomiast rozrastała się coraz bardziej kosmetyka nieoperacyjna, upiększająca ludzi zapomocą kremów, pudrów i maści. Gdyby tak było, to należałoby tym czynnikom zwrócić uwagę, że pomiędzy jedną i drugą dziedziną jest ogromna różnica — i nie może być konkurencji. Daleko bowiem kosmetyce skórnej do naprawiania zniekształceń ciała ludzkiego, co jest właśnie zadaniem chirurgji plastycznej.

Zniekształcenia są przekleństwem dla człowieka, prześladują go stale, odbierają chęć do życia i doprowadzają często do samobójstwa.

Obowiązkiem lekarza jest dopomódz zniekształconemu taksamo jak choremu na ślepą kiszkę lub przepuklinę, gdyż obydwom zagraża kalectwo i śmierć.

A jednak prasa nie wyolbrzymia dla sensacji żadnego wypadku śmierci po operacji ślepej kiszki, mimo, że zdarza ich się w Polsce codziennie po kilka lub kilkanaście.

Niewątpliwie ryzyko operacyj kosmetycznych jest większe, niż ryzyko masażu lub manicure, chociaż nawet takie niepozorne zabiegi mogą spowodować zakażenie krwi i śmierć (co miało miejsce niedawno w Łodzi), jeżeli wykonane są niefachowo.

Dr. St. Michałek-Grodzki

Chirurg Plastyk.

Wycieczka świąteczna na Semmering i do Wiednia

ORBIS organizuje tanią i b. interesującą wycieczkę zimową na Semmering i do Wiednia w czasie tegorocznych feryj Bożego Narodzenia, t. j. od 23/XII.1934 do 3/I. 1935.

Doskonale ułożony program wycieczki umożliwi jej uczestnikom miłe spędzenie czasu świątecznego, zapewni należyty odpoczynek, a narciarzom da możność korzystania z ulubionego ich sportu w doskonałych terenach narciarskich Semmeringu.

Uczestnicy wycieczki będą też mieli możność wzięcia udziału w niezwykle wesoło w Wiedniu obchodzonym wieczorze Sylwestrowym bieżącego roku.

Wycieczka wyruszy z Katowic 23/XII 1934 o godz. 22.14, do Wiednia przybędzie 24/XII.34 o godz. 6.30, poczem bezpośrednio o godz. 7.50 wyjedzie na Semmering, dokąd przybędzie tegoż dnia o godz. 10.04 przed południ. Na Semmeringu spędzą uczestnicy wycieczki 7 dni, t.j. do 30/XII.34, w którym to dniu o godz. 15.17 wyjadą do Wiednia, gdzie staną tegoż dnia o godz. 17.15.

W Wiedniu wycieczka spędzi czas do 2/I 1935, którego to dnia wieczorem wyjedzie wycieczka z powrotem do Katowic, gdzie stanie 3/I.35 o 7.54 rano.

Koszt udziału w wycieczce został ustalony jak najniżej, a wynosi on zł. 369 od osoby. Kwotą tą objęte są: koszt paszportu i wiz, biletu kolejowego III kl. Katowice — Semmering i z powrotem, oraz koszta mieszkania i całkowitego doskonałego utrzymania en pension na Semmeringu i w Wiedniu.

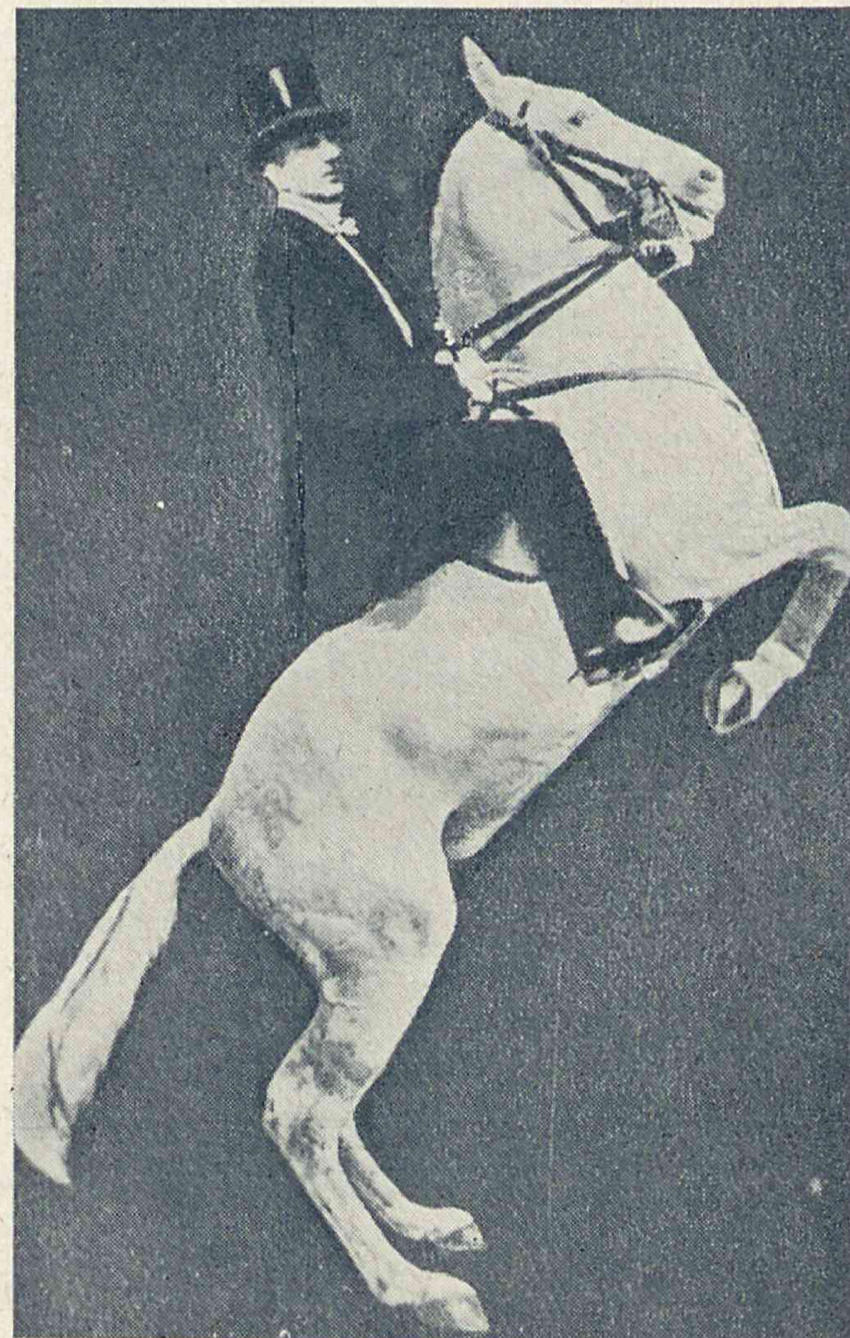
Zgłoszenia udziału w wycieczce przyjmują wszystkie placówki ORBISU do 7.XII.1934. Przy zgłoszeniu należy złożyć następujące dokumenty: dowód osobisty z poświadczeniem obywatelstwa polskiego, zaświadczenie zamieszkania, zezwolenie właściwego Starostwa na wyjazd zagranicę, dokumenty wojskowe i 2 fotografje typu paszportowego. Przy zapisie należy wpłacić zadatek w kwocie 150 zł., resztę zaś do 15/XII. 1934 r. Ilość uczestników wycieczki jest ograniczoną, dlatego zgłoszenia uczestnictwa w niej winny następować jak najrychlej.

Z BALETU OPERY WARSZAWSKIEJ



Janina Leitzkówna, doskonała tancerka, solistka Opery Warszawskiej

ŚWIATOWA ATRAKCJA W WARSZAWIE



HENRIK GAUTIER (najwyższa szkoła jazdy artystycznej) wystąpi na „ADMIRALE" najpiękniejszym w świecie pełnej krwi rumaku arabskim *na dancingu i na five o'clock'ach* w „ADRJI" w grudniu.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

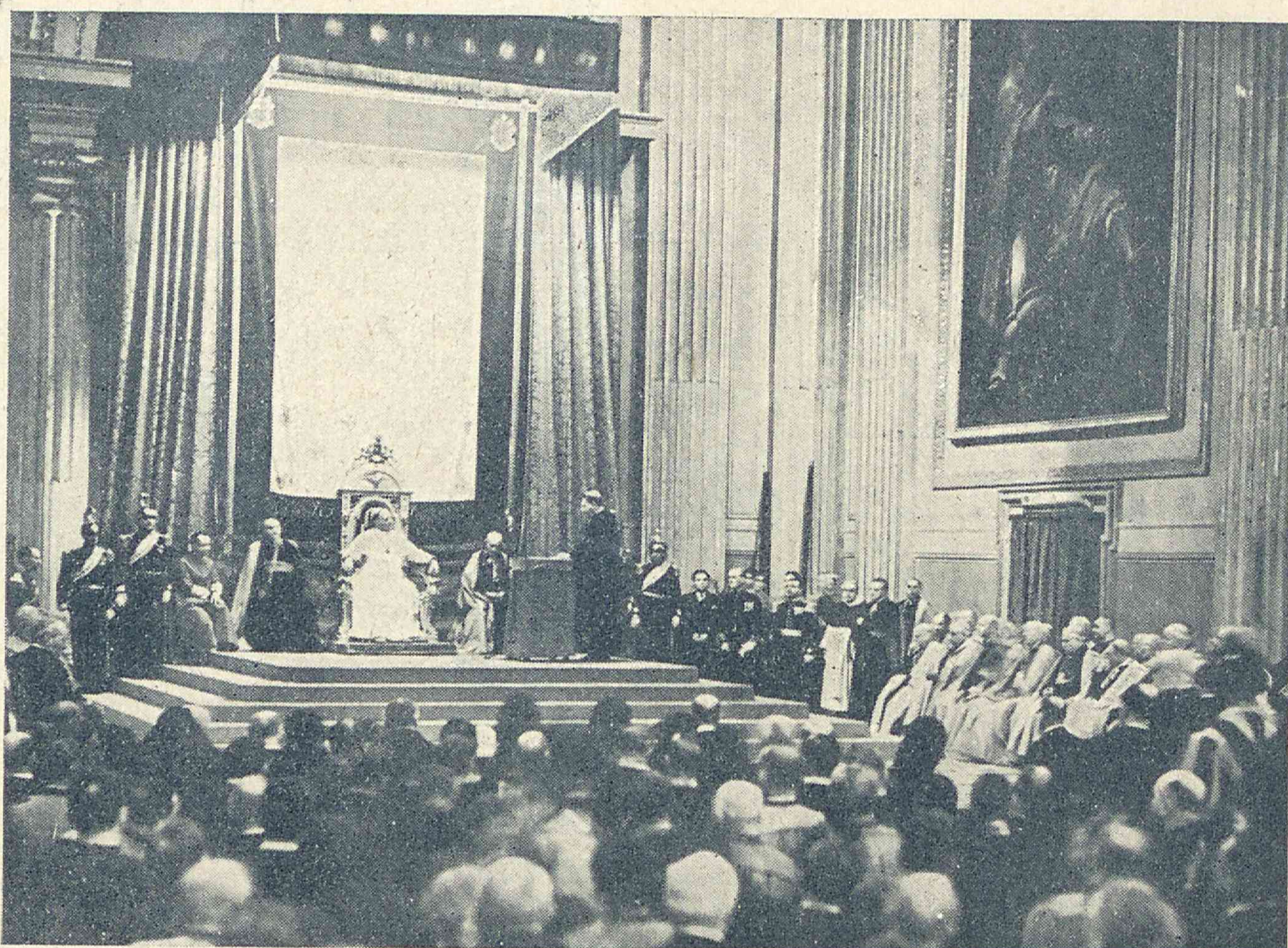


Ś. p. Michalina z Poraj-Zamoyskich Grzymała - Łagunina, wdowa po ś. p. Antonim, przełożonym cieszącej się w swoim czasie ogólnym uznaniem szkoły w Warszawie, obywatelka m. Warszawy, zmarła dnia 26 listopada 1934 r. w wieku 74 lat.

Spoczęła na cmentarzu Powązkowskim w grobie rodzinnym.

Cześć Jej pamięci!

KONGRES PRAWNICZY W WATYKANIE



Ojciec Święty przewodniczy posiedzeniu międzynarodowego katolickiego kongresu prawniczego w Rzymie.

KRONIKA WYDAWNICZA

(Książki nadesłane do Redakcji)

Marja Bochdan - Niedenthal „Ucayali" Raj czy piekło nad Amazonką. Z 38 ilustracjami. Skład główny „Dom Książki Polskiej". Warszawa 1934.

Wacław Niezabitowski „Golfstrom". Powieść, Tow. Wydawnicze „Rój", Warszawa, 1935.

Jerzy Jacek Rapacki „Sztandar". Romans wojenny. Wydawnictwo St. Cukrowskiego. Warszawa 1934.

J. Courths Mahler „Gdyby życzenia zabijały". Powieść. Przekład E. Solskiej. Ditto.

Rezsö Szirmai „Więzień z własnej woli". Powieść. Przekład R. Szütza. Ditto.

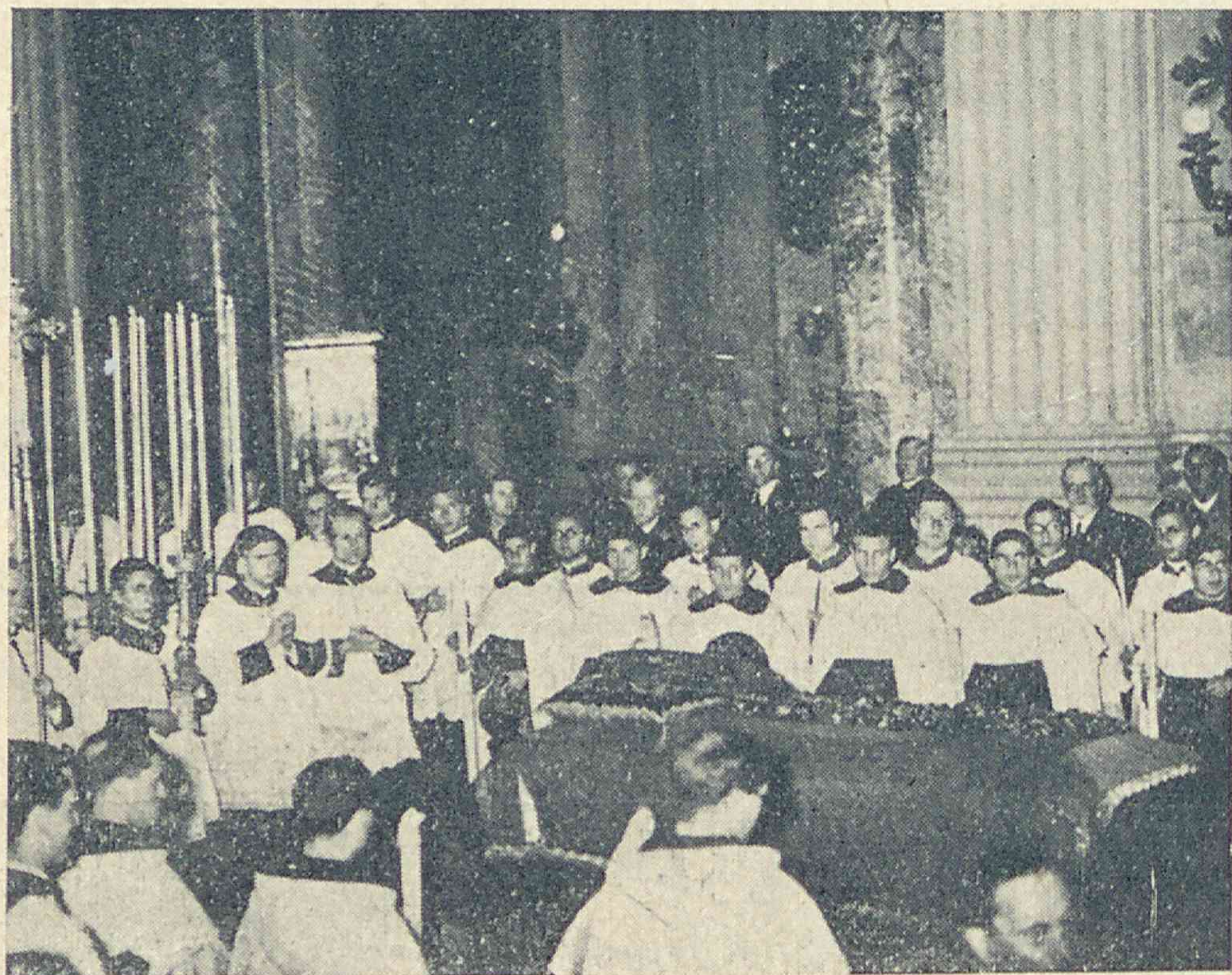
Vicki Bam. „Podrżó". Powieść. Przekład E. Solskiej. Ditto.

K. Tetmajer honorowym akademikiem



Polska Akademja Literatury mianowała na ostatniem posiedzeniu, honorowym członkiem Akademji, znakomitego poetę Kazimierza Przerwę - Tetmajera, autora nieśmiertelnego cyklu „Na skalnem Podhalu" i jednego z ostatnich przedstawicieli „Młodej Polski".

POGRZEB KARDYNAŁA GASPARRI



W kościele Ś-go Ignacego odbyło się w Rzymie niezwykle uroczyste nabożeństwo żałobne za zmarłego kardynała Gasparri.

Co usłyszymy z La Scali?

Polskie Radjo zwróciło się do radjofonji włoskiej z propozycją transmitowania z La Scali szeregu oper, aby wzorem ubiegłego sezonu, dać słuchaczom polskim możność uczestniczenia w tych jedynych w swoim rodzaju przedstawieniach muzycznych.

Na pierwszy plan wybija się prapremjera opery Piotra Mascagniego „Neron". Będzie to święto narodowe muzyki włoskiej, a zapewne także wielkie wydarzenie w życiu muzycznem Europy. Dzięki transmitowaniu tej opery przez Polskie Radjo wysłuchamy jej równocześnie z publicznością włoską w dniu pierwszego wystawienia tego dzieła na scenie.

Następnie Polskie Radjo transmitować będzie: „Falstafa" Verdi'ego, „Madame Butterfly" Puccini'ego, „Carmen" Bizeta, „Fausta" Gounoda, „Luisę" Charpentié — „Otella" Verdi'ego, „Wertera" Masseneta, „Pajace" Leoncavallo i „Aidę" Verdi'ego.

Równocześnie z transmisjami z La Scala Polskie Radjo kontynuować będzie transmisje z oper w Warszawie, Krakowie i Poznaniu. Dotychczas transmitowano uroczyste otwarcie Opery Warszawskiej, nadając „Erosa i Psychę". Drugą zkolei transmisją będzie w dniu 4 grudnia opera „Czart i Kasia" Dworzaka w wykonaniu zespołu Opery Poznańskiej.

Dla uczczenia pamięci Puccini'ego Polskie Radjo nada ze studja jedną z jego oper, najprawdopodobniej nie grany w Polsce tryptyk, złożony z trzech jednoaktowych oper: „Siostra Angelica", „Płaszcz", „Gianni Schicchi".

W roku bieżącym przypada również setna rocznica śmierci Bellini'ego, którą najprawdopodobniej uczczą Włochy wystawieniem jednej z jego oper. Audycję tę również transmitować będzie Polskie Radjo.

CO NIOSĄ FALE RADJOWE?

„CZART I KASIA" — OPERA DWORZAKA Z TEATRU W POZNANIU
wtorek — 20.15.

Eugenja Umińska, Paweł Breissach
Piątek — 20.05.

Edward Bender
piątek — 18.15.

Mieczysław Fogg
sobota — 20.00.

Lucyna Szczepańska
niedziela — 16.20.

„Starzy i młodzi"
felj. — niedziela — 18.45.

Kabaret przed 20-tu laty
poniedziałek — 15.45.

Pieśni Starowłoskie
poniedziałek — 19.00.

Rewja orkiestra
poniedziałek — 20.00.

„Jak wywołano wielką wojnę"
poniedziałek — 21.45.

„Drobny, krzesany, zbónicki" (muz. góralska)
wtorek — 19.30.

Utwory Chopina
środa — godz. 21.00 i 21.40.

„Azais" — Verneuilla
czwartek — 17.00.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

№ 104 (394) Rebus wirowy

Ułożył Jan Stratilato.

(Za rozwiązanie 7 punktów).



№ 105 (395) Eliminatka

(Za rozwiązanie 3 punkty)

1					
2					
3					
4					
5					
6					
7					

W daną figurę należy wpisać poziomo 7 wyrazów o podanem znaczeniu, poczem skreślić te litery, które wchodzą w skład wyrazu (klucz do eliminatki), będącego męskiem imieniem słowiańskiem. Pozostałe litery, czytane poziomo od góry ku dołowi, dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów:

1) Odgłos zegara, 2) Gusła, zamawianie, 3) Dokuczliwy pasożyt głowy (l. mn.), 4) Filozof i orjentalista francuski, 5) Narożniki, 6) Szklana soczewka wypukła, 7) Ofiary.

№ 106 (396) Metamorfozy

(Za rozwiązanie 3 punkty)

W zdaniach:

1) JEGO BALON — DELTA POC,

2) BÓJKA U BABEK GUBI KOGUTKA,

3) LOLU, ANI WASĄG CI NIE DA TURKA, —

należy poprzestawiać litery w ten sposób, aby powstały trzy znane przysłowia polskie.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ

Nr. 88 (378) PRZESTAWIANKA

1) Tyflotypografja, 2) Yauguarundi, 3) Gracjonalista, 4) Opodeldok, 5) Dylucydacja, 6) Nonkonformizm, 7) Inkonwenjencja, 8) Kontrmanifestacja, 9) Śródziemnomorski, 10) Witryfikacja, 11) Inwestytura, 12) Ateleologja, 13) Translucydacja. — TYGODNIK „ŚWIAT".

Nr. 89 (379) KRZYŻ MAGICZNY

1) Gnoseologja, 2) Cybernetyka, 3) Demonstrant, 4) Strzetelski (wspak), 5) Samotrzaski.

Nr. 90. METAMORFOZY

1) KWITA Z BYKA ZA INDYKA,

2) GDZIE KUCHCIE DO PATYNY,

3) CZEGO OCZY NIE WIDZĄ, TO SERCU NIE ŻAL.

Trafne rozwiązanie zadań Nr. 88 — 90 (łączna ilość 13 punktów) nadesłali:

Dorota Herbstmanówna, Marja Strubel Henryk Silczyński, Romuald Żak, Kazimierz Lilpop, N. K. Kozłowski, Jadwiga Kwiekowa (Dobrzelin), Rudolf Tyblewski (Poznań), Feliks Kowalski, Czesław Kozłowski, Ksawery Faliński, Helena Millerowa (Kraków), Jan Popławski, Zofja Suchecka (Radom), Wład. Stock (Pińsk), Józef Małecki, Baśka Żulińska (Częstochowa), Jan Rudziński (Kalisz), Henryk Walewski (Lwów), Ola Borman, Janina Rowińska ,Karol Waldenberg (Łódź), Stanisław Tański, Tadeusz Noskowski, Wiktor Sawicki, Jerzy Halski, Bolesław Nowak, Zofja Górska, Tadeusz Ritter, Henryk Ostrowski, Gertruda Wolska.

NAGRODY OTRZYMALI.

Jadwiga Kwiekowa (Dobrzelin) — książkę.

Józef Zbyszewski (Warszawa) — książkę.

„ŚWIAT" Redakcja i Administracja: Warszawa, Szpitalna 12. Tel. Red. 210-87. Tel Adm. 504-00.

WARUNKI PRENUMERATY (łącznie z premjum książkowem). W Warszawie: Odbiór w Admin. mies. Zł. 5.— kwart. Zł. 13.50. Z odnoszeniem do domu mies. Zł. 5.50, kwart. Zł. 15.—. Na prowincji mies. Zł. 6.— kwart. Zł. 16.20. Zagranicą mies. Zł. 8.— kwart. Zł. 21.60.

KONTO P. K. O. 3.755

NASZE KUPONY TEATRALNE

OPERA, Teatr Wielki

KUPON № 4

ze zniżką 30%

Ważny od 29/XI do 5/XII r. b. włącznie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt.

Uprawnia do nabycia w kasie teatru do godz. 7-ej wiecz., o ile wolnych miejsc starczy, w dniu przedstawienia, biletu dla jednej osoby ze zniżką **30%**, od pełnych cen danego przedstawienia.

Teatr „ATENEUM"

KUPON № 4

ze zniżką 50%

Ważny od 29/XI do 5/XII r. b. włącznie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt.

Uprawnia do nabycia w kasie teatru do godz. 7-ej wiecz., w dniu przedstawienia, biletu dla jednej osoby ze zniżką **50%**, od pełnych cen danego przedstawienia.

Teatr KAMERALNY

KUPON № 4

ze zniżką 50%

Ważny od 29/XI do 5/XII r. b. włącznie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt.

Uprawnia do nabycia w kasie teatru do godz. 7-ej wiecz., o ile wolnych miejsc starczy, w dniu przedstawienia, biletu dla jednej osoby ze zniżką **50%**, od pełnych cen danego przedstawienia.

Redaktor *L. Chrzanowski* Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. Galewski i Dau, Warszawa